ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1sh

ROK X. Nr 24 (468)

NIEDZIELA, 10 CZERWCA 1956 R.

PUNKTY WIDZENIA

Miesiąc walnych zebrań

Pragnę poruszyć dziś sprawę, która w życiu emigracji odgrywa wielką rolę, a w obrębie której nie wszystko dzieje się najlepiej. Jest to sprawa naszych stowarzyszeń, emigracyjnego życia społecznego i trybu jego pracy organizacyjnej. Do poruszenia tych spraw obecny miesiąc szczególnie się nadaje, bowiem czerwiec jest okresem walnych zebrań większości stowarzyszeń emigracyjnych, a na nich decydują się przecież sprawy, które w dużej mierze przesądzają bieg prac w ciągu całego roku.

Zauważyć trzeba, że polskie życie emigracyjne rozwija się bardzo bujnie i właściwie należałoby bardziej mówić o przeroście organizacyjnym, aniżeli narzekać na zanik życia społecznego. Trwający od dwóch lat rozstrój naczelnych władz politycznych dał poprzez zdrowy instynkt szerokich mas emigracji silne pchnięcie w kierunku przeniesienia punktu ciężkości zainteresowań z organizacji politycznych na organizacje społeczne. W sumie nigdy chyba tak szeroko i różnostronnie nie rozwijało się życie organizacji polskich na emigracji, jak właśnie w ostatnich dwóch latach.

Myślę, że można by sporządzić długie i bardzo piękne sprawozdanie, bilansujące wiele naprawdę pożytecznych i nawet niekiedy podziwu godnych dokonań w zakresie pracy stowarzyszeń emigracyjnych. Szczególnie na odcinku spraw parafialnych, budowy ośrodków polskich na prowincji, oświaty, szkolnictwa, chórów, teatrów amatorskich i także sportu.

Nie pozbawione jest wszakże to tak bujne życie organizacyjne i swoich cieni, o których pragnę tu mówić, zanim te zaledwie rysujące się oznaki niebezpieczeństwa nie przemienią się w groźniejsze choroby.

Powiedziałem powyżej, że rozterka polityczna wpłynęła bardzo potężnie na tym silniejszy rozwój organizacji społecznych. Ale w pewnym stopniu istniejący bodziec spowodował i skutek odwrotny. Pewna część ludzi, rozgoryczona jałowością i swarami politycznymi, zamiast wyciągnąć wniosek przeniesienia swojej energii działania na pracę społeczną, powiedziała sobie, że skoro takie nonsensy jak kłótnie polityczne są możliwe, oni wycofują się w ogóle z życia publicznego i nie chcą mieć nic wspólnego również z organizacjami społecznymi. Zakopują się we własne dołki, najczęściej bardzo wygodne i luksusowe, we własne plany inwestycyj życiowych i w urok wycieczek, odbywanych własnym samochodem. Powstaje w tych kołach nawet coś w rodzaju doktryny osobliwego epikureizmu życia na emigracji.

Jest to drobna część emigracji, ale jest. I ważne ponadto jest to, z czego się owa część składa. Przykro powiedzieć, że doktrynę epikureizmu głosi przede wszystkim inteligencja. Dorabiają się, oczywiście, i ludzie z szerokich mas, ale u nich nie jest to równoznaczne z izolacją od spraw społecznych. Jeśli tak można powiedzieć, ten typ awansu społecznego i majątkowego chce się wmontować w polszczyznę łącznie z nabytą chałupą i nowym samochodem. Największą przyjemnością jest dla nich kupiony dom urządzić po polsku, sitting-room przerobić na polski salon, ściany obwiesić świętymi obrazami oraz ozdobić portretem Kościuszki i przyjechać własnym wozem na Pasterkę lub akademię Trzeciego Maja.

Wypominając sobkostwo pewnej części inteligencji emigracyjnej, nie chcę w najmniejszej mierze uprawiać demagogii. Sam się do tej grupy społecznej zaliczam, ponadto wiem dobrze, jaki jest udział w różnych dziełach ludzi wykształconych, ale niepokoi mnie fakt powstania w pewnej części tych kół procesu, który jest sprzeczny z celami emigracji, a nie uświadomiony zawczasu może urość kiedyś do poważnego niebezpieczeństwa.

Ten punkt zahacza o główną sprawę naszego życia społeczno-organizacyjnego, o jego bujność. Wielość organizacji sama w sobie jest, oczywiście, rzeczą dodatnią. Ale czy jest zjawiskiem dodatnim w takim ukształtowaniu, w jakim poczyna się pojawiać? W poszczególnych miejscowościach istnieje po kilka i po kilkanaście organizacji. Gdy się dobrze przyjrzeć ich strukturze i obsadzie personalnej, wpada się na symptom dość powszechny — wieloprezesowatości. W danej miejscowości jest kilku czy kilkunastu ludzi, którzy powtarzają się w lekkim przetasowaniu w zarządach wszystkich miejscowych towarzystw. Słyszałem o wypadku, w którym jeden i ten sam człowiek zebrał szesnaście prezesur! No nie, to już jest przesada.

Gdy się pyta o przyczynę tych anomalii, słyszy się nieodmienną odpowiedź: brak chętnych do pracy na stanowiskach kierowniczych i odpowiedzialnych. Członkowie, owszem, są, jest ich dużo, emigranci lubią się zrzeszać, natomiast odpowiedzialności i wysiłku organizacyjnego wziąć się wzbraniają, co oczywiście otwiera szerokie pole do popisu ludziom tkniętym manią zbierania prezesur.

Ten stan rzeczy jest zły i musi być zmieniony. Ludzie energiczni i inteligentni, pełni zapału i inicjatywy, muszą odwrócić zakorzeniający się zwyczaj. Wypowiadane słowa muszą przecież coś znaczyć, jeśli nie mają się stać pośmiewiskiem i kpiną. Mówi się głośno i buńczucznie, że teraz ciężar zadań przesuwa się z organizacji politycznych na społeczne. Nie przesądzajmy w tej chwili, czy całkiem tak jest. Powiedzmy tylko, że skoro tak się rzeczy chce układać, to zarówno pod względem organizacyjnym, obsad personalnych, jak przede wszystkim pod względem myślowym, poziom naszych organizacji i stowarzyszeń musi się szybko i wydatnie podnieść.

*

Mówiąc o tych sprawach, chciałbym poruszyć z tego kręgu spraw wypadek zupełnie wyjątkowy. Parafie polskie i organizacje wokół nich skupione odegrały w życiu emigracji wielką i zbawienną rolę i to rolę bardzo wieloraką. To one były i są czynnikiem spokoju, ładu i równowagi w naszych środowiskach, a w przyszłości ten dobroczynny wpływ może być jeszcze bardziej potrzebny i istotny. Patrząc na działalność parafii polskich z innej strony, dostrzega się ich rozszerzającą się działalność w zakresie pogłębiania życia katolickiego, umacniania katolickich instytucji i realizowania się tego faktu, iż w grupie emigracyjnej myśl i instytucje katolickie zaczynają na dobre kształtować życie.

W tych miesiącach, a przede wszystkim w czerwcu odbywają się we wszystkich ośrodkach emigracyjnych walne zebrania organizacji parafialnych, szczególnie zaś Komitetów Kościelnych. Jak i w innych organizacjach, i tu zaznacza się to samo zjawisko: członków wielu, bardzo wielu, ale nie ma dostatecznej ilości ludzi chętnych do pracy kierowniczej, przy czym zaczyna razić wymykanie się spod tych obowiązków miejscowej inteligencji. Owszem, owszem, poprzeć księdza w jego wysiłkach, wspomóc kościół, nawet dać swoje nazwisko pod odezwę, to robi się chętnie i łatwo, ale przyłożyć ręki do stałej, codziennej, nieefektownej pracy organizacyjnej, to już nie.

Nie wiem, czy się dostatecznie widzi pracę księży polskich parafii na emigracji. Nikt nie skąpi słów uznania dla polskiego duchowieństwa, przy spotkaniu ma się pełne garście uprzejmości i zdawkowych ukłonów. Ale któż się zastanawia nad olbrzymim ciężarem, który każdy ksiądz w ośrodku polskim niesie na swoich barkach. Jest na posługi każdemu. Codziennie przychodzą ludzie, którzy zapas swoich trosk i nieszczęść zsypują — na kogóżby? — na księdza.

Nasze życie uchodźcze codziennie stawia księdza przed koniecznością trudnego godzenia rozgorzałych namiętności, łagodzenia, wiązania, wytyczania dróg w pogmatwanych komplikacjach. Wśród całej ruchliwej powierzchni życia on stoi wśród niej i równocześnie ponad nią, po ludzku biorąc samotny, a obowiązany rozdawać w sposób nieograniczony siłę drugim, otuchę i nadzieję.

W tym roku, przed walnymi zebraniami Komitetów Kościelnych ksiądz znów się zwróci do wiernych swojej parafii o to, aby najhojniej i najlepiej obsadzili stanowiska w zarządach i instytucjach parafialnych. Czy i tu ma zaznaczać się zjawisko tylko zawodowych prezesów, czy i tu będzie uchylać się miejscowa inteligencja?

Przecież to jest sprawa nie tylko tego księdza, który się z prośbą zwraca. To sprawa szersza, większa, największa. Sprawa sięgająca od ziemi, i to wbrew pozorom od naszej własnej ziemi, aż po niebo!

J. K.

MARIAN BOGDAŃSKI

MIĘDZYNARODOWY ROK GEOFIZYCZNY

JEDNO Z NAJWIĘKSZYCH PRZEDSIĘWZIĘĆ NAUKOWYCH ŚWIATA

Stoimy na progu wielkiej akcji naukowej, która ma za zadanie w zbiorowym wysiłku posunąć o wielki krok naprzód naszą wiedzę o ziemi i o warunkach fizycznych, w których żyjemy. Wysiłek ten podjęty będzie w czasie Międzynarodowego Roku Geofizycznego, rozpoczynającego się w lipcu 1957 roku i mającego trwać do końca następnego, tj. 1958 roku. Będzie to chyba jedno z największych przedsięwzięć naukowych świata zarówno co do zakresu badań, jak i liczby uczonych oraz udziału poszczególnych krajów. W ciągu tych osiemnastu miesięcy 5.000 naukowców z 40 krajów skoncentruje swą uwagę na zjawiskach i problemach związanych z naturą naszego globu ziemskiego, jego atmosfery, jego miejsca w systemie słonecznym i w przestrzeni wszechświatowej. Można oczekiwać istotnie wielkich dokonań i rezultatów z takiej zbiorowej, zespołowej pracy najlepszych umysłów wykonanej przy wydatnej pomocy finansowej i technicznej rządów tylu państw, wśród których nie brak i Związku Sowieckiego oraz kilku jego satelitów, co zwróciło szczególną uwagę i wzbudziło może nieco przesadne nadzieje (na pokojową współpracę) na Zachodzie.

Przypomnijmy, że Rok Geofizyczny nie jest pierwszą tego rodzaju imprezą naukową w skali międzynarodowej. Idea takiej zespołowej pracy naukowej oblokła się w kształt realny po raz pierwszy w postaci Międzynarodowego Roku Polarnego z 1882-83 roku. Założono wtedy stacje badawcze w regionach arktycznych, które rozszerzyły znakomicie naszą wiedzę o promieniach północnych, o magnetyzmie na Dalekiej Północy i w zakresie meteorologii. W pięćdziesiąt lat później, w 1932-33, Drugi Międzynarodowy Rok Polarny przyniósł duże rezultaty badawcze w zakresie komunikacji radiowej i umożliwił znaczny postęp w dziedzinie różnych aparatów elektronicznych, m. in. radarowych.

Po upływie zaledwie ćwierćwiecza okazała się potrzeba zorganizowania nowego „Roku Międzynarodowego" na szerszej jednak podstawie i z bardziej ambitnymi celami. Wprawdzie badanie terenów podbiegunowych, jak wyniknie z szczegółowego wyliczenia zadań M.R.G., odgrywać będzie pokaźną rolę, gdyż są to tereny z natury rzeczy mało jeszcze znane, jednak już w samej nazwie uwydatniło się rozszerzenie skali przedmiotowej badań Roku Geofizycznego. Wyznaczenie wcześniejszego o połowę terminu jest też wyrazem znacznego postępu pracy badawczej w wielu dziedzinach geofizyki, który zaostrza niejako apetyt na dalsze wyniki, o tyle łatwiejsze do uzyskania i tyle pewniejsze przy pracy zbiorowej na wielką skalę. Ta niecierpliwość uczonych, to ich widoczne pragnienie uzyskania szybkich rezultatów, raczej dobrze wróży temu gigantycznemu i ambitnemu przedsięwzięciu.

Projekt wysunięty został przez różne organizacje naukowe i zaaprobowany przez Międzynarodową Radę Związków Naukowych. Każdy z uczestniczących krajów opracuje i wykona swój własny program, jednak pod kierownictwem specjalnie do tego powołanego ciała koordynującego pn. Comité Spécial de l'Année Géophysique Internationale (CSAGI). W Stanach Zjednoczonych, gdzie organizacja udziału amerykańskiego w Roku Geofizycznym jest już — formalnie przynajmniej — stosunkowo dość zaawansowana, Narodowa Akademia Nauk jest odpowiedzialna za opracowanie programu amerykańskiego, przy czym czerpie z funduszów federalnych, uzyskanych za pośrednictwem Narodowej Fundacji Naukowej. Powstał tam też osobny komitet narodowy pod przewodnictwem dra Józefa Kaplana. Około 50 instytucyj zadeklarowało współpracę w sekcji amerykańskiej M.R.G., a setka uczonych zajęta jest przy opracowaniu programu prac, przy wykonywaniu zaś tego programu liczba ta wzrośnie wielokrotnie. Amerykańskie władze federalne, przede wszystkim zaś departament obrony, poprą prowadzenie prac stawiając do dyspozycji personel, materiał, statki i inne środki transportowe, samoloty, pociski odrzutowe itd. Niewątpliwie i w innych państwach zaznaczy się aktywna współpraca władz z uczestniczącymi przy realizacji zadań M.R.G. organizacjami naukowymi.

ZADANIA I PIERWSZE KROKI PRZYGOTOWAWCZE

Przejdźmy teraz z kolei do omówienia tych właśnie zadań i do podjętych już pierwszych kroków przygotowawczych. A więc usiłować się będzie wymierzyć dokładnie powierzchnię naszego globu ziemskiego, zbadać, o ile to możliwe, jego wnętrze i jego skorupę, poszerzyć znajomość atmosfery otaczającej go i zgłębić tajemnice oceanów, poddając badaniom składniki chemiczne i fizyczne powietrza i wód. Uczeni będą się starali uchwycić rytm niezrozumiałych dostatecznie fal przebiegających przestrzenie powietrzne i wodne, poświęcą też pilną uwagę „deszczowi elektrycznemu" niewidocznych promieni bombardujących naszą atmosferę z przestrzeni międzygwiezdnej. Poddane będzie osobnym badaniom również zagadnienie równomiernej fluktuacji pola magnetycznego ziemi. Zamierza się też znaleźć odpowiedź na tego rodzaju zagadnienia, jak możliwość dokładniejszego przewidzenia szlaku huraganów, jak sprawa zmian klimatycznych na całej ziemi. Chodzi o ustalenie, czy mianowicie w wyniku ocieplenia się i przyśpieszonego procesu tajania lodów arktycznych można oczekiwać podjęcia komunikacji morskiej na szlaku północno - zachodnim, a z drugiej strony, czy nie grożą powodzie nisko położonym regionom przybrzeżnym.

Skąd biorą się, gdzie się tworzą promienie kosmiczne? Jaki jest ich związek z zorzą polarną? Czy możliwe jest przewidzieć trzęsienie ziemi? Czy atmosfera ziemska ulatnia się w przestrzeni zewnętrznej? Czy możliwe jest przepowiedzieć okresy suszy tak, by móc w porę ostrzec rolników? — Oto szereg pytań, na które uczeni będą starali się odpowiedzieć w Roku Geofizycznym na podstawie zebranych obserwacyj.

Wachlarz zagadnień, które poddane będą studiom, jest tak obszerny, że w poniższym ich wyliczeniu i opisie trudno będzie zachować logiczny ład i podział.

W programie prac Roku Geofizycznego szczególną uwagę poświęci się stosunkowo szczegółowemu zbadaniu olbrzymiego, wiecznie lodem pokrytego kontynentu antarktycznego. Szereg państw, m. in. Wielka Brytania i kraje Brytyjskiej Wspólnoty Narodów (Australia i Nowa Zelandia), Stany Zjednoczone, Francja i Związek Sowiecki wysłały już w końcu ubiegłego roku czołówki swych ekspedycyj naukowych celem zorganizowania baz przeważnie, choć nie wyłącznie, nadbrzeżnych, służących do prowadzenia badań i do podejmowania wypraw w głąb kraju. Ale poza wymienionymi i inne kraje zamierzają założyć stacje naukowe w Antarktyce — mianowicie Argentyna, Chile, Japonia, Norwegia i Związek Południowej Afryki. Kontynent antarktyczny zajmuje przestrzeń olbrzymią — ponad 5 milionów mil kwadratowych z przeciętną wysokością 2 tysięcy metrów ponad poziomem morza. Istnieją tam jednak łańcuchy górskie i wzniesienia w wysokości blisko 4 i pół tysiąca metrów, jak M-t Erebus, odkryty w 1841 roku przez Sira James C. Rossa. Na szczyt tej góry wspięli się po raz pierwszy Anglicy w 1908 roku. Jest ona dymiącym jeszcze wulkanem.

Przewiduje się, że razem istnieć będzie około 30 baz, w tym kilka wewnątrz kraju. Jedna z nich — amerykańska — znajdować się będzie na samym biegunie albo w bezpośrednim jego pobliżu. Stacja francuska osadzona będzie niedaleko Południowego Bieguna Magnetycznego, a ekipa sowiecka projektuje założenie bazy w najbardziej niedostępnej(!) okolicy Antarktyki, nigdy dotąd nie zbadanej, w części wschodniej kontynentu.

Bardzo interesujące i obiecujące obfite rezultaty naukowe są zamierzenia brytyjskie. Otóż z dwóch przeciwległych punktów wybrzeża podjęta będzie ekspedycja transarktyczna, która przemierzyć ma cały kontynent na linii przecinającej biegun południowy. Od wybrzeża Oceanu Atlantyckiego wyruszy ekspedycja angielska, prawdopodobnie pod wodzą dra Fuchsa, znad zatoki księcia Ernesta. Ekipa nowozelandzka, pod wodzą Sira Edmunda Hillary'ego, zdobywcy Mount Everestu, wyjdzie na spotkanie ekspedycji angielskiej w kierunku bieguna południowego. Na trasie tej założy ona szereg składnic, które ułatwią odbycie etapu końcowego. Jednym z zadań ekspedycji tej będzie ustalenie grubości powłoki lodowej za pomocą eksplozji dynamitowych.

Bodaj najszerzej założoną akcję planują Stany Zjednoczone, które już rozpoczęły organizację sześciu baz obserwacyjnych niemal we wszystkich częściach wybrzeża rozległego kontynentu antarktycznego; poza tym zakładają dwie stacje wewnątrz kraju, w tym jedną, jak już wspomniano, na samym biegunie. Część tych baz, w wykonaniu „Operation Deepfreeze" znajdować się będzie pod kierownictwem słynnego admirała Byrda. Założenie bazy na biegunie, jeżeli warunki na to pozwolą, projektuje się drogą powietrzną. Zarówno personel, jak i materiał budowlany, zapasy paliwa, żywności, instrumenty naukowe itd., byłyby przewiezione samolotami. Personel naukowy i techniczny tej stacji składać się będzie z 15 osób. Admirał Byrd, który podjął był już poprzednio cztery wyprawy antarktyczne, oczywiście odwiedzi stację na biegunie; udział jego świadczy, jak poważnie Ameryka traktuje zadania Roku Geofizycznego na tym odcinku.

Z dotąd ogłoszonych informacyj wynika, że sieć stacyj antarktycznych m. in. podejmować będzie regularne obserwacje pogody na powierzchni co trzy godziny, a na wysokości 100 tysięcy stóp dwa razy dziennie przy pomocy balonów wyposażonych w aparaty radio-nadawcze, które będą rejestro-

(Dokończenie na str. 2)

ZAPOMNIANY GROBOWIEC

Trzechsetlecie lwowskich ślubowań Jana Kazimierza zwraca myśl naszą ku temu królowi, który chociaż ani oddaniem sprawie ojczyzny, ani rozsądkiem nie ustępował innym wybitnym władcom Polski, miał wyjątkowo ciężkie panowanie, rozpoczęte walką z buntem kozackim, a zakończone wyczerpującą walką z najazdem węgierskim, moskiewskim i szwedzkim, które w rezultacie złamały rozwój polityczny Rzeczypospolitej. Zmęczony nieustannymi wojnami i zbolały po śmierci swej małżonki, która jego ciężkie losy dzieliła, Jan Kazimierz na sejmie 1668 zrzekł się korony, (a raczej obu koron, bo nominalnie był również królem szwedzkim) i zapewniwszy sobie u Ludwika XIV mieszkanie we Francji, osiadł przy opactwie Saint - Germain - des - Près w Paryżu, gdzie w roku 1672 sterany żywot zakończył.

Miejsce pobytu polskiego króla miało bardzo starą tradycję. Opactwo to, noszące imię biskupa paryskiego St. Germain (496-576) ufundowane zostało przez Childeberta I w 558 r. Pierwotne mury wzniesiono w stylu romańskim, w późniejszych przeróbkach wprowadzono również elementy gotyckie. Zasadniczo opactwo dzisiejsze datuje się od XI wieku i stanowi cenny zabytek architektoniczny. Znajduje się ono na lewym brzegu Sekwany przy jednym z wielkich bulwarów paryskich, St. Germain. Starożytnością murów i wieżycą odbija od otoczenia. Wnętrze jest raczej skromne. W lewej nawie, opodal presbiterium, znajduje się grobowiec Jana Kazimierza. Król w postawie klęczącej ofiarowuje berło Bogu. Na grobowcu płaskorzeźby, na których w półmroku kościoła można dostrzec natarcie husarii. Napis na obu stronach pomnika we wstępie głosi:

„Aeternae memoriae regis Casimiri hic,post emensos virtutum ac gloriae gradus omnes, quiescit nobili sui parte Joannes Casimirus Poloniae ac Sueciae Rex; alto de Jagiellonidum sanguine, e familia Vasatensi postremus, quia summus litteris, armis, pietate; multarum gentium linguas addidicit, quo illas propensius sibi devinciret — septemdecim proellis, collatis cum hoste signis, totidem uno minus vicit. Semper invictus, Moscovitas, Suecos, Brandeburgenses, Tartaros, Germanos Armis, Cosacos, aliosque rebelles Gratia ac Beneficiis expugnavit, Victoria Regem eis se praebens, Clementia Patrem..."

Słowa te w wolnym przekładzie znaczą:

„Wiecznej pamięci Króla Kazimierza, który tu spoczywa w chwale i cnocie. Jan Kazimierz Król Polski i Szwedzki, ze starej krwi jagiellońskiej z rodu Wazów, który w piśmie, w wojnie, w pobożności, w językach różnych narodów wszystkich przewyższał, siedemnaście bitew z wrogiem stoczył, wszystkie prócz jednej zwycięsko, zwyciężył i pokonał Moskwicinów, Szwedów, Brandenburczyków, Tatarów, Niemców, a Kozakom i rebeliantom okazał ojcowskie miłosierdzie."

Grobowiec jest obecnie pusty. Zwłoki królewskie przewieziono na Wawel i pochowano w grobach królewskich. W dalekim Paryżu pozostał grobowiec, jedna z wielu pamiątek, świadczących, jak bliskie więzy łączyły oba kraje. Na trzechsetlecie Ślubów Kazimierzowskich przy grobowcu winny się były odbyć modły za duszę tego, który Polskę ofiarował Najświętszej Pannie, a wiązanka kwiatów zwróciłaby uwagę cudzoziemców na miejsce spoczynku polskiego władcy.

P. J.



Zbudowany w XI stuleciu kościół opactwa Saint Germain - des Prés w Paryżu, gdzie znajduje się grobowiec Jana Kazimierza.

MIĘDZYNARODOWY ROK GEOFIZYCZNY

(Dokończenie ze str. 1)

wać temperaturę, ciśnienie i wilgotność powietrza oraz kierunek nasilenia wiatrów. W tzw. Małej Ameryce powstanie centrala meteorologiczna, która nadawać będzie częste prognozy pogody dla użytku samolotów i ekspedycyj lądowych. Cztery bazy amerykańskie wyposażone będą w obserwatoria magnetyczne, podejmowane też będą pomiary siły ciążenia w czasie wypraw terenowych i samolotowych. Amerykanie zamierzają również badać ze swych baz działanie promieni kosmicznych za pomocą aparatów pomiarowych umieszczonych w balonach i pociskach odrzutowych. Wreszcie dokonywane będą głębokie wiercenia poprzez pokrywę lodową (do 1000 stóp a nawet głębiej) dla zbadania konsystencji lodu i temperatur na różnych głębokościach.

TERENY WYBRANE DO BADAŃ

Oprócz Antarktyki postanowiono szczególną uwagę poświęcić zjawiskom geofizycznym na pewnych określonych terytoriach. Wybrano więc w tym celu okolice polarne, szeroki pas wzdłuż równika, oraz wzdłuż południków: na wschodniej półkuli — 10°, przebiegający od północy poprzez Ocean Arktyczny, część zachodnią Skandynawii, Niemcy Środkowe, Włochy północnozachodnie, Tunizję, Saharę, Nigerię, Kamerun i wzdłuż wybrzeża zachodniego Afryki ku Antarktyce; inny pas wdłuż południka 110°, przebiegającego przez część środkowo-wschodnią Syberii, środkowe Chiny, wzdłuż wybrzeża Indo-Chin, Borneo, Jawę, wzdłuż zachodniego wybrzeża Australii; południk 140° przecina wschodnią Syberię, zachodni Pacyfik, Nową Gwineję, Australię wschodnią. Na półkuli zachodniej wybrano południki 80° i 70°, które przebiegają przez wschodnią część Ameryki Północnej i zachodnią Ameryki Południowej. Wzdłuż tych linii powstanie szereg punktów obserwacyjnych i badawczych, których personel naukowy skoncentruje uwagę na zjawiskach dostrzeżonych na ziemi, w morzu i w powietrzu.

Powierzchnia ziemi, na której człowiek żyje, kryje w sobie wiele tajemnic, które M.G.R. będzie się starał rozgryźć. Istnieje w tym zakresie mnóstwo jeszcze problemów do zbadania; wymienić tu wystarczy trzęsienia ziemi, powodzie, aktywność wulkaniczną, lawiny itd.

Zapewne studia oceanograficzne doznają znacznego przyśpieszenia w uzyskiwaniu rezultatów pod wpływem prac podjętych w okresie Roku Geofizycznego. Lepsze zrozumienie głębokich prądów morskich może znacznie ułatwić ustalanie prognoz pogody na daleką metę. Podjęte będą podmorskie studia geofizyczne z baz położonych na Atlantyku wschodnim i zachodnim oraz na Pacyfiku środkowym i wschodnim. Badać się też będzie dziwne i dotąd nie wyjaśnione zmiany w poziomie dna morskiego dokonywujące się czasem z dnia na dzień, czasem z sezonu na sezon. Jeżeli uświadomimy sobie, że ponad 70 proc. powierzchni kuli ziemskiej pokrytych jest oceanami i morzami, poznanie przyczyn i zakresu cyrkulacji wód morskich, oczywiście posiada ogromne znaczenie, bo wpływa na nasz klimat i pogodę na lądach.

Jeżeli ziemia i morza kryją w sobie wiele jeszcze tajemnic, to cóż dopiero powiedzieć mamy o otaczającej nas atmosferze i o dalszych kręgach przestrzennych oddzielających nas od innych planet w systemie słonecznym, a tym bardziej o niedosiężnych, zgoła poza wzrokiem, przestrzeniach między systemami gwiezdnymi.

SZCZEGÓŁOWA ANALIZA GÓRNEJ POŁOWY NASZEJ ATMOSFERY

Jednym z zadań M.R.G. będzie poddanie szczegółowej analizie górnej połowy naszej atmosfery. M. in. pragnie się poznać dokładniej niesłychane skłębienie mas powietrznych ponad 40 równoleżnikiem, wynikające ze zderzenia się gorącego powietrza znad równika z masami powietrza zimnego znad biegunów. Energia zrodzona z tego zetknięcia się równa się eksplozji 4 i pół miliona bomb atomowych. By zbadać to oraz inne zjawiska, cała sieć stacyj meteorologicznych wysyłać będzie balony na wysokość 100 tysięcy stóp i otrzymywać stamtąd drogą radiową zebrane automatycznie dane.

Osobnym, niezmiernie ważnym przedmiotem studiów w Międzynarodowym Roku Geofizycznym będzie dziedzina promieni kosmicznych. Badaniom intensywnym poddana też będzie warstwa niezmiernie już rozrzedzonego powietrza ponad atmosferą na wysokości 50 do 200 mil ponad ziemią, czyli w tzw. jonosferze. Osobne stacje będą się starały uchwycić ruch jonizacji.

Jeśli chodzi o działanie tych różnych stacyj obserwacyjnych i badawczych, należy zaznaczyć, że projektuje się szczególne jego nasilenie w pewnym okresach. I tak więc wprowadzić się zamierza tzw. Regularne Dni Światowe (3 do 4 dni co miesiąca), związane z określonymi fazami księżyca. Będą też 10-dniowe okresy co kwartał, nazwane Światowymi Interwalami Meteorologicznymi. Wreszcie, zależnie od dostrzeżonych pomyślnych warunków obserwacyjnych, czy z okazji jakichś niezwykłych zjawisk i aktywności słonecznej, magnetycznej, jonosferycznej itp. nastąpi zintensyfikowanie pracy tych stacyj. Dane zebrane, których może być nieprzebrana ilość, poddane będą — jak przystoi w obecnej fazie rozwoju różnych urządzeń automatycznych — zliczeniu, przesianiu i przesegregowaniu przez różne aparaty elektroniczne.

Wreszcie na zakończenie wspomnieć wypada o zapowiedzi amerykańskiej, która zelektryzowała wyobraźnię wielu entuzjastów w zakresie podróży międzyplanetarnych. Otóż według oświadczenia przedstawiciela Białego Domu w Waszyngtonie, projektuje się wysłanie w przestrzeń pierwszego sztucznego satelity, który krążyć będzie dokoła ziemi. Będzie on przesyłał dane zaobserwowane w swej podróży przez różne aparaty o charakterze i częstotliwości promieniowania w przestrzeni zewnętrznej, w tym o promieniach kosmicznych, promieniach gamma, ultrafioletowych i roentgenowych. Będzie on też mógł zebrać informacje o gęstości materii oraz może uzupełnić i rozszerzyć nasze wiadomości w zakresie wielkości i kształtu ziemi. Podobne zadania wykonywać będą wystrzeliwane w przestrzeń pociski rakietowe, niektóre niezmiernie skomplikowane.

Zamykamy ten informacyjny artykuł stwierdzeniem, iż dla smakoszów wiedzy o ziemi i warunkach naszego fizycznego na niej bytowania Międzynarodowy Rok Geofizyczny przygotowuje, jak z powyższego zestawienia wynika, ucztę obfitą i łechcącą niezmiernie podniebienie.

M. Bogdański

DROGI WSPÓŁCZESNYCH NAWRÓCEŃ (XII)

FRED COPEMAN

Fred Copeman urodził się w przytułku dla ubogich (1907 r.). Z dzieciństwa spędzonego w straszliwej nędzy moralnej i materialnej niesłodkie zostały mu wspomnienia.

Jako czternastoletni wyrostek wstąpił do szkoły morskiej w Harwich. W czasie krótkiego tam pobytu nauczył się boksu, co miało nadspodziewanie duże znaczenie w jego późniejszym życiu. Z Harwich przeniesiono go do jednostki zaopatrzeniowej marynarki wojennej ze stałą siedzibą na Malcie. Po trzech latach służby wrócił do Anglii i mając lat siedemnaście wstąpił do szkoły artylerii morskiej.

Dla marynarzy sprawność sportowa, a szczególniej doskonałość formy bokserskiej stanowiły walor nie byle jaki. Dlatego też Copeman cieszył się wielkim uznaniem u swoich kolegów.

Gdy w wyniku zarządzenia rządowego obniżono stawki płacy marynarzom wojennym, Copeman został jednogłośnie obwołany przywódcą powstałej z tej racji rewolty.

Bunt wybuchł w czasie meczu między dwoma załogami statków wojennych. Marynarze, którzy tłumnie przybyli na mecz, zdecydowali się nie wracać na pokład. Admiralicja natychmiast ogłosiła stan wyjątkowy, lecz marynarze zebrani w parku Invergordon urządzili wiec celem przedyskutowania co należy robić dalej. Wtedy to champion boksu został wypchnięty na ławkę i zmuszony do objęcia przewodnictwa.

Upojony uznaniem Copeman przyjął rolę przywódcy buntu, zdając sobie sprawę, że może być rozstrzelany lub powieszony na maszcie własnego statku.

Udało mu się powstrzymać tłum od ataków gwałtu i proklamować strajk generalny, co zostało przyjęte przez wszystkich z aplauzem. Na drugi dzień rano piętnaście tysięcy marynarzy rozpoczęło strajk i unieruchomiło całą flotę stojącą w porcie i nawet statek admiralicji został ogarnięty strajkiem.

Zaniepokojone władze zwołały naprędce posiedzenie ministrów. Na trzeci dzień rano gazety przyniosły wiadomość, że aby położyć kres rewolcie, zdecydowano się nie obniżać pensji marynarzom, obiecano też nie wszczynać dochodzeń wobec winnych i przyznano zaległe urlopy dla całej załogi.

Było to więcej nawet niż spodziewali się zbuntowani — toteż Copeman natychmiast zarządził podjęcie służby.

Naturalnie komuniści, choć nie mieli nic wspólnego ze strajkiem, o którym sami dowiedzieli się dopiero z gazet, starali się przekonać opinię publiczną, że był on ich dziełem i że marynarze im zawdzięczają zwycięstwo.

„The Daily Worker" pisał — oczywiście — hymny pochwalne na cześć proletariatu, który zmusił rząd do kapitulacji.

Po powrocie na pokład Fred Copeman został powiadomiony, że jego stare podanie sprzed pięciu lat zostało przyjęte i że może opuścić służbę. Inni przywódcy zostali powiadomieni, że Marynarka Wojenna nie potrzebuje dłużej ich usług.

Wyrzucony na bruk Copeman został dokerem w Londynie. Partia komunistyczna usiłowała pozyskać go dla siebie, lecz on nie odrazu zdecydował się zostać jej członkiem.

W latach 1932-34 bezrobocie w Anglii było palącą sprawą. Partia komunistyczna starała się wyzyskać dla siebie nastroje głodnych dołów i między innymi stworzono fundusz dla bezrobotnych. Copeman z ramienia partii miał go zorganizować na terenie Londynu. Zarządy miast zabroniły wszelkich publicznych zebrań, policja starała się rozpędzić gromadzące się tłumy i Copeman kilkakrotnie był karany paromiesięcznym więzieniem za nieposłuszeństwo władzom.

Te częste uwięzienia wpłynęły na zwiększenie jego autorytetu wśród robotników.

W roku 1934 na czele słynnego pochodu głodnych Copeman usiłował dotrzeć z Trafalgar Square do pałacu królewskiego, by przedłożyć petycję zaopatrzoną tysiącem podpisów zebranych z całego kraju. Petycja zawierała prośbę o powzięcie jakichś środków zaradczych wobec szerzącego się bezrobocia. Policja nie dopuściła manifestantów do pałacu, część dokumentów uległa zniszczeniu, lecz większość pozostała w rękach Copemana.

W wyniku pochodu głodnych odbyły się dwa procesy: Copeman został skazany na 4 miesiące więzienia za wzięcie udziału w pochodzie, a Labour Party pociągnęła policję do odpowiedzialności sądowej za zniszczenie dokumentów i... proces wygrała.

Wszystkie te wypadki nie mogły nie zainteresować opinii publicznej; prasa i parlament wypowiedziały się w sprawie bezrobocia. Copeman był zadowolony, bo cel osiągnął.

Nadszedł rok 1936. Rewolucja w Hiszpanii miała na całym świecie swoich zwolenników. W styczniu 1937 roku międzynarodowa czerwona brygada liczyła w Hiszpanii 27.000 ochotników. Fred Copeman znalazł się również po stronie czerwonych na czele 400 ochotników angielskich.

W Barcelonie zrozumiał, że wśród ochotników po stronie czerwonej Hiszpanii mało było komunistów, że ci najczęściej — po cywilnemu — odgrywali rolę aniołów-stróżów przy każdej bojowej jednostce. Zauważył, że z braku zaufania do dowódców najlepsze osiągnięcia były marnowane, panował rozkład moralny i zupełny brak dyscypliny. Palono kościoły i mordowano księży, choć poza jednostkami czysto komunistycznymi nikt nie żywił wrogich uczuć wobec religii.

Po wielu różnych przejściach Copeman został ranny, a gdy wyszedł ze szpitala, rewolucja zdążyła się wypalić, wobec czego powrócił do Anglii.

Zmęczony awanturniczym życiem postanowił się ożenić z młodą komunistką, której cała rodzina należała do partii. Marzył o wycofaniu się z pracy, o jakimś odpoczynku, lecz partia, nieufnie do niego usposobiona, postanowiła go wysłać do Moskwy na przeszkolenie.

Pobyt w Rosji nie na wiele się przydał, bowiem Copeman odmówił głoszenia wykładów o raju sowieckim. Co ważniejsze, wypowiedział się wkrótce za rządem Churchilla, o ile ten podejmie walkę z nazistami niemieckimi.

Po gorącej wymianie zdań, a nawet użyciu pięści w stosunku do jednego z wysokich komisarzy, Copeman opuścił partię na zawsze.

Rok 1939. Wojna u progu Anglii. Mając doświadczenie hiszpańskie Copeman zdawał sobie dobrze sprawę, jakie spustoszenia robią bombardowania. Zgłosił więc swoje usługi w organizowaniu obrony cywilnej całej Anglii. Ministerstwo Wojny patrzało na te jego wysiłki bardzo życzliwie. Policji i straży ogniowej polecono słuchać wszelkich jego zarządzeń. Nawet z pałacu królewskiego otrzymał zaproszenie do wygłoszenia odczytu na temat, jak należy się zachować w czasie bombardowań.

Gdy nadeszła wojna, zniszczenia wynikłe na skutek nalotów przeszły najbardziej pesymistyczne oczekiwania Copemana. Wtedy to wykazał w całej pełni swój talent organizacyjny. Potrafił przygotować schrony na 12 tysięcy osób, wyposażone w kantyny, urządzenia sanitarne, a nawet kina. Zagarnął również na ten cel podziemia kolejki londyńskiej.

W czasie nalotów Copeman spotykał ludzi najrozmaitszych przekonań, ras, charakterów. Obserwował ich reakcje i podziwiał gotowość wielu jednostek do niesienia pomocy innym w chwili zagrożenia czy wybuchu. Wstrząsającym dla niego odkryciem było poznanie generała Fitzgeralda, który dawał świadectwo wiary przede wszystkim zachowaniem swoim w stosunku do bliźnich.

W czasie jakiegoś straszliwego bombardowania spotkał również niewiastę, która z całym poświęceniem pomagała mu w ratowaniu poszkodowanych. Kobieta była katoliczką. Po każdym nalocie opanowując uczucie strachu biegła z pomocą rannym. W nocy, w czasie długich godzin czuwania, prowadziła z Copemanem dyskusje na temat wiary katolickiej.

Copeman zaprzyjaźnił się z ową panią i jej mężem, a nawet czasami towarzyszył im do kościoła. Pociągała go cisza katedry westminsterskiej, lubił zagubić się w jej ogromie.

Pchany ciekawością zaczął przeglądać prasę katolicką i broszury wyłożone do sprzedania w przedsionku katedry. Między innymi znalazł pracę jezuity ojca Martindala, znanego z kazań radiowych. Jego styl prosty podobał się Copemanowi. A gdy dowiedział się że o. Martindale sam był konwertytą, postanowił go poznać. Spotkania ich zamieniły się z czasem w trwałą przyjaźń i przez długie miesiące Copeman kilka razy w tygodniu odwiedzał zakon jezuitów, by uczyć się zasad wiary katolickiej.

W roku 1946 w dzień Bożego Narodzenia Fred Copeman przyjął Chrzest i Komunię świętą w małej kaplicy na Farmstreet. W parę miesięcy później w katedrze westminsterskiej został bierzmowany wraz z żoną i kilkoma przyjaciółmi.

Jako katolik stał się Copeman jednym z realizatorów akcji syndykalnej w ramach Labour Party. Tak jak Hyde, Kendall i inni nawróceni komuniści miał odwagę do przyznania się do swoich błędów.

W pracy pt. „Reason in Revolt"*) wypowiedział swoje poglądy na sprawy socjalne. W żaden sposób — mówi tam — nie da się zrealizować ideałów socjalistycznych, jeżeli ich się nie oprze na zdrowej podstawie chrześcijańskiej. Wszystko co jest dobre i prawdziwe w ideologiach świata znajduje się w katolicyzmie, tylko, że katolicyzm zawiera w sobie stokroć więcej, bo przeciwstawia uczuciu nienawiści prawo miłości, dlatego jedynie katolicyzm może dać odpowiedź komunizmowi.

H. Z.

*) Fred Copeman: „Reason in Revolt", Bladford Press. London.

ŚWIĘTO PIEŚNI POLSKIEJ

ZJAZD POLSKICH CHÓRÓW

W dniach 16 i 17 czerwca odbędzie się w Birmingham zjazd chórów polskich zrzeszonych w Związku Chórów Polskich w Wielkiej Brytanii. W organizacji zjazdu bierze czynny udział Polskie Koło Katolickie w Birmingham.

W niedzielę, dnia 17 czerwca, pod protektoratem Lorda Mayora m. Birmingham, oraz J. E. ks. Arcybiskupa Birminghamu — odbędzie się wspólny koncert chórów w Town Hall pod nazwą „Święto Pieśni Polskiej", w którym śpiewać mają chóry: Birmingham — „Echo", Bradford — Chór Polski, Derby — Polski Chór Kościelny, Edynburg — „Echo", Fairford — Chór im. Moniuszki, Huddersfield — „Varsovia", Leeds — „Harfa", Londyn — Chór Akademicki, Chór Polski im. Chopina (b. Chór Wojska Polskiego), Chór im. ks. arc. Cieplaka, Chór im. Szymanowskiego, Manchester — Chór im Moniuszki, Nottingham — Chór im. św. Cecylii, Sheffield — „Arion", Springhill Lodges — Chór Polski — razem ponad 300 śpiewaków.

Śpiewać będzie również Marian Nowakowski, bas Królewskiej Opery Covent Garden, oraz Stanisław Bojakowski, tenor N. I. R. Opery w Brukseli.

Część pierwsza koncertu będzie poświęcona głównie polskiej pieśni religijnej, część druga — utworom świeckim. Prace nad przygotowaniem repertuaru trwały od jesieni ub. roku.

POLSKIE GIMNAZJUM POTRZEBUJE SZYBKIEJ POMOCY

Polskie gimnazjum ojców marianów w Fawley Court jest w potrzebie i zwraca się do nas wszystkich o pomoc. Jak istotna i jak bardzo pilna i ważna jest ta potrzeba, mówi o tym ogłoszony tutaj apel gen. broni Kazimierza Sosnkowskiego, który objął protektorat nad polską akcją pomocy. Skład Honorowego Komitetu Pomocy zorganizowanego pod wysokim przewodnictwem J. E. ks. arcybiskupa Józefa Gawliny — a także i skład Komitetu Wykonawczego — samą powagą wymienionych nazwisk świadczy o tym, że sprawa zasługuje w najwyższym stopniu na poparcie i że nie powinniśmy się wahać z udzieleniem szybkiej i skutecznej pomocy.

Powstałe w 1953 roku z niczego, a tylko mocą upartej woli i pracy ojców marianów, polskie gimnazjum w Fawley Court, zabiegając bez przerwy o swoje istnienie i rozwój, potrafiło już sobie zdobyć moralne poparcie wśród Polaków w Wielkiej Brytanii. Przykład zapału i ofiarności ojców marianów jest zaraźliwy. Ludzie coraz częściej jeżdżą do Fawley Court, przyglądają się, podziwiają. Ten i ów się zapali do zbożnego dzieła i pomaga na ile go stać. Ale za mało jest tej pomocy jak dotychczas. A tymczasem gimnazjum rozrasta się, ma już 77 uczniów, liczy na 200 w najbliższej przyszłości. Więc rosną i potrzeby. Potrzebne nowe pomieszczenia, nowe klasy, urządzenia, boiska. Okazało się, że niezbędne jest nabycie w tym celu pozostałej części przylegającego do gimnazjum parku. Ojcowie nie mogli już sami udźwignąć tego nowego ciężaru, jako że spłacane przez nich w ratach miesięcznych obciążenie hipoteczne domu stanowi jeszcze £ 7.000. — Ale że gimnazjum musi istnieć i rozwijać się, więc zawiązany został doraźny Komitet, który zajął się pożyczeniem pieniędzy i zakupił za nie potrzebny grunt, ufając że społeczeństwo polskie mając przed sobą tak szlachetny i konkretny cel dopomoże do spłacenia tego zobowiązania. Chodzi o jak najszerszy krąg ofiarodawców, bo wówczas nawet drobne ofiary przyniosłyby w sumie pokaźną pomoc, która przy Bożej pomocy starczyłaby może i na spłatę pożyczki i na nowe niezbędne inwestycje.

Wierzymy, że tak się stanie, że starczy na wszystko, jeżeli tylko nie ociągając się pośpieszymy całym sercem z pomocą.

Adres dla przesyłki ofiar podany jest pod apelem gen. Sosnkowskiego.

APEL GEN. K. SOSNKOWSKIEGO

W SPRAWIE GIMNAZJUM POLSKIEGO KSIĘŻY MARIANÓW W FAWLEY COURT

Wiemy dobrze, jakie są nasze zasadnicze cele. Nasz pobyt na emigracji wtedy tylko znajdzie swe historyczne uzasadnienie, gdy zdołamy przyczynić się do przywrócenia wolności Ojczyźnie, gdy drogi powrotu do Polski całej i niepodległej staną otwarte przed uchodźstwem, a przede wszystkim przed wzrastającym na emigracji młodym pokoleniem. Utrzymać coraz liczniejsze rzesze młodzieży naszej w duchu i atmosferze polskości, stworzyć odpowiednie warunki, aby w tym duchu były one kształcone i wychowywane — oto jedno z głównych naszych zadań społecznych, oto szczytny obowiązek ogółu polskiego na obczyźnie. Śmiem twierdzić, że każde osiągnięcie w zakresie podtrzymania i rozbudowy polskiego szkolnictwa na wygnaniu stanowi realną usługę oddaną naszej sprawie, twórczy do niej przyczynek w dziedzinie bez wątpienia równie ważnej, jak wysiłki nasze na polu politycznym.

Na terenie Wielkiej Brytanii jest już kilka placówek czysto polskiego szkolnictwa. Dałby Bóg, ażeby ich było jak najwięcej.

Jest jednakże na tym głównym terenie osiadłości naszego uchodźstwa tylko jedno gimnazjum polskie dla chłopców, prowadzone przez Księży Marianów w Fawley Court w hrabstwie Oxford. Księża Marianie, którzy założyli oraz własnym wysiłkiem i staraniem utrzymują ten zakład, zasługują na naszą najgłębszą wdzięczność, na szczere uznanie i wszelką pomoc w Ich pracy nad wychowaniem młodych pokoleń z dala od ziemi ojczystej, nad ochroną tych pokoleń przed niebezpieczeństwem wynarodowienia się.

Zakład naukowy w Fawley Court, który istnieje dopiero drugi rok i który rozpoczął swą pracę mając zaledwie kilkunastu chłopców, dziś liczy ich już 77 i rozrasta się w dużą uczelnię.

Na wyposażenie, rozbudowanie i zaspokojenie mnożących się coraz bardziej potrzeb polskiego gimnazjum, prowadzonego w duchu katolickiego i polskiego wychowania, brak jest środków finansowych. Zwracam się przeto do Was, Drodzy Czytelnicy, z serdeczną prośbą o pomoc.

Ufam, że choć macie wiele obowiązków finansowych i nie szczędzicie świadczeń, o które kołaczą do Was z różnych stron, to przecież i w tym wypadku będziecie szczodrzy na cel tak dobry i szlachetny, że ofiarą Waszą wesprzecie to, co godziwe i sercu Waszemu drogie.

Komitet, któremu patronuję, a który powstał, by zorganizować doraźną pomoc dla gimnazjum polskiego Księży Marianów w Fawley Court, w chwili obecnej potrzebuje sumy £ 3.000 na sfinansowanie tranzakcji kupna parku o obszarze 20 hektarów, graniczącego z zakładem. Park ten jest niezbędnie potrzebny dla gimnazjum z uwagi na jego stały rozrost i z uwagi na wymagania brytyjskich czynników administracyjnych.

Wierzę, że na cel tak piękny i doniosły nie będziecie szczędzić grosza i że nie omieszkają dołożyć swojej cegiełki wszyscy ci, do których dotrze ten apel, na rozbudowę placówki tak bardzo nam potrzebnej.

Komitet będzie głęboko wdzięczny za każdą, choćby najmniejszą ofiarę.

Kazimierz Sosnkowski

Dary proszę przesyłać na adres:
Fawley Fund, c/o Ks. St. Nowak,
Polish Hostel, Checkendon,
nr. R e a d i n g, Berkshire, England.

KOMITET DORAŹNEJ POMOCY DLA GIMNAZJUM POLSKIEGO

Skład Komitetu Honorowego i Komitetu Wykonawczego Doraźnej pomocy dla polskiego gimnazjum w Fawley Court jest następujący:

Protektor: gen. broni K. Sosnkowski. Przewodniczący Komitetu Honorowego: J. E. ks. arcybiskup J. Gawlina.

Członkowie Komitetu Honorowego: ks. rektor dr L. Bombas, W. Donigiewicz, K. Gielniewski, ks. prał. R. Gogoliński-Elston, J. Janiurek, ks. dziek. F. Kącki, S. Knapik, płk E. Kozakiewicz, S. Lis, dr Z. Ludwig, gen. S. Maczek, ks. infułat B. Michalski, W. K. Nadratowski, B. Nowicki, dr T. Pasieczny, dr K. Poznański, gen. pil. L. Rayski, ks. prowincjał J. Sielski, S. Soboniewski, ks. prałat W. Staniszewski, inż. J. Żaba.

Komitet Wykonawczy: Przewodniczący — ks. St. Nowak, sekretarz — E. Łukasiński, skarbnik — J. Leczkowski, członkowie — dr Z. Matraś i mgr C. Paluch.

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

ZGON KSIĘDZA ARCYBISKUPA GODLEWSKIEGO

W dniu 20 maja zmarł w Krakowie w sędziwym wieku lat 84 J. E. ks. arcybiskup Michał Godlewski, doktor św. Teologii, arcybiskup tytularny frygijski, biskup oderwanej dziś od Polski ziemi łuckiej i profesor historii Kościoła na wydziale teologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.

J. E. ks. arcybiskup Godlewski pozostawił po sobie niemały dorobek naukowy: wydał między innymi pięciotomową pracę historyczną „Monumenta Eclesiastica Petropolitana", opracowywał materiały o udziale duchowieństwa polskiego w powstaniu listopadowym, przygotowywał zarys historii Kościoła w b. zaborze rosyjskim. W roku 1931 został członkiem Polskiej Akademii Umiejętności, a jako delegat Stolicy Apostolskiej uczestniczył w roku 1933 w Światowym Kongresie Historyków w Warszawie. W roku 1951, po 50 latach pracy naukowej, przeszedł na emeryturę. Godność tytularną arcybiskupa frygijskiego otrzymał od Stolicy Apostolskiej w 50-lecie swego kapłaństwa.

Pogrzeb ś. p. ks. arcybiskupa Godlewskiego odbył się w Krakowie. Zwłoki eksportowano z kościoła ojców pijarów do bazyliki metropolitalnej na Wawelu, przy licznym udziale duchowieństwa świeckiego i zakonnego oraz nieprzeliczonych rzesz wiernych z Krakowa i okolicy.

„Osservatore Romano" o progresistach polskich. Zwracając zawsze pilną uwagę na sprawy katolickie za żelazną kurtyną, dziennik watykański w numerze na 25 maja artykuł pt. „Orientamenti e progressismo" poświęcił sprawie nowego pisma „Kierunki" i wizytom progresistów polskich w Rzymie, zainteresowanych obecnie podobno problemem wychowania młodzieży. Dziennik watykański przypomina „Porozumienie" z 1950 roku, które poruszyło ten problem w zdecydowany sposób, co uczyniło także memorandum biskupów polskich z 8 maja 1953, podpisane przez kardynała Wyszyńskiego. Jeśli prawdą jest, że dzisiaj progresiści poruszają ten problem, to jest to stwierdzeniem, że kardynał Wyszyński miał rację w tym jak i we wszystkim. I dlatego, jeżeli dziś progresiści poruszają problem wychowania młodzieży, to nie widać, jak można by temu zaradzić — zaznacza dziennik watykański — przez zwrócenie się ich do Rzymu. Progresiści wiedzą dokąd się zwrócić: wystarczyłoby, ażeby Warszawa respektowała swą konstytucję, swoje prawa swoje zobowiązania, ażeby wyrzekła się samowoli, którą od lat stosuje zamiast prawa i sprawiedliwości. Charakterystyczne jest, że „Osservatore Romano" nie mówi o „katolikach społecznie postępowych", lecz używa jedynie wyrazów: progressismo, progressisti, il periodico progressista, il movimento progressista.

Studium systematyczne przemówień papieskich. Akcja Katolicka w Urugwaju powzięła inicjatywę systematycznego, rozłożonego na trzy lata, studium programowych przemówień Papieża Piusa XII, które dotyczą rodziny i świata pracy. Dokumenty papieskie będą poddawane komentowaniu przez specjalne komisje i następnie rozpowszechniane przez prasę i ulotki.

25-lecie katolickiego ruchu ukraińskiego. Federacja stowarzyszeń katolickich studentów ukraińskich OBNOVA i stowarzyszenie katolickich intelektualistów obchodzą w tym roku 25-lecie założenia OBNOVA. Celem Stowarzyszenia OBNOVA jest praca nad duchowym urobieniem studentów w oparciu o chrześcijańskie zasady religii i moralności, w duchu tradycji narodowej.

Kurs o Europie chrześcijańskiej. Jak co roku, także i w roku bieżącym odbędą się w Salzburgu tradycyjne „Tygodnie Uniwersyteckie". Przedmiotem studium będzie „Europa chrześcijańska: jej misja, funkcja i odpowiedziałalność". „Tygodnie" trwać będą od 5 do 19 sierpnia.

Fatima. Nakładem „Veritasu" w „Bibliotece Polskiej" jest drukowana książka o objawieniach Matki Boskiej w Fatimie. Warto podać, że w roku obecnym w dniu 13 maja, jako w 39 rocznicę pierwszego objawienia, ponad pół miliona pielgrzymów zebrało się dla uczczenia Matki Boskiej. Kardynał - patriarcha Wenecji Angelo Roncalli celebrował Sumę pontyfikalną dla chorych, a kardynał-patriarcha Lizbony Emanuel Cerejeira odnowił poświęcenie Portugalii Niepokalanemu Sercu Matki Boskiej. W kazaniu kardynał Cerejeira przypomniał, że żyjąca dotychczas siostra zakonna Łucja, jedna z trojga uprzywilejowanych dzieci, przepowiedziała drugą wojnę światową i że Portugalia będzie ochroniona przed okropnościami tejże wojny. Kardynał zwrócił się do wiernych z wezwaniem do odmawiania Różańca w rodzinach i do oddawania czci Matce Boskiej jako Królowej Pokoju.

Komunikat. „Osservatore Romano" w numerze z 23 maja przestrzega przed propagandą nowego wydania czy przedruku Ruggero Bonghi'ego „Vita di Gesù", przypominając, że książka ta została umieszczona na Indeksie Książek Zakazanych dekretem z 16 marca 1892 r., mającym nadal swą moc.

NOTATKI

REF-REN

Zespół Feliksa Konarskiego (Ref-Rena) wystawił po powrocie z objazdu ośrodków polonijnych w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie reportaż rewiowy z tej podróży. Panie Nina Oleńska i Zofia Terne wystąpiły w strojach amerykańskich. Szczególnie piękną kreacją sceniczną była haftowana srebrem niebieska suknia pluszowa pani Terne. Autor oparł teksty obrazków, skeczy i piosenek na motywach amerykańskich i polonijnych. Piąta Ulica, drapacze chmur, cowboje, dolar, bankiet, polka, chicagoska godzina radiowa — oto główne pomysły muzy Feliksa Konarskiego. Całość najtrafniej charakteryzuje tytuł programu: „Wybryki z Ameryki".

Niedawno reżymowy Jerzy Putrament nadał swym reportażom z przejażdżki amerykańskiej tytuł: „Dwa łyki Ameryki". Różnica dzieląca łyki i wybryki polega głównie na tym, że Putrament zachłysnął się Ameryką, natomiast Ref-Ren potraktował Nowy Świat jako serię wybryków, w miarę wesołych, w miarę ponurych, w sumie raczej rzewnych. Do jakiego stopnia wiernie odmalował życie i ducha amerykanizmu, o tym trudno sądzić wytrwałemu obywatelowi zielonego Hampsteadu i czarnego Paddingtonu.

Gdyby jednak do ostatniego programu rewii Ref-Rena zastosować marksistowskie kryteria estetyczne, można by przedstawienie określić jako propagandę antyamerykańską, a więc jako pozytywne osiągnięcie sztuki na drodze walki o pokój i postęp. Z punktu widzenia burżuazyjnego „Wybryki z Ameryki" były bardzo miłą i udaną zabawą. Każda zabawa, oczywiście, zawiera w sobie element banału i schematyzmu (jakby powiedział Żółkiewski), i tego się nie udało przezwyciężyć nawet Ref-Renowi.

Nieznośną manierą zalatuje zwłaszcza posługiwanie się w tekstach nazwiskami kolegów po garderobie. Dla trzódki Ref-Rena każdy żart o Mikule, Bersonie i Zimandzie musi zapewne być ogromnie śmieszny, ale widz nie bardzo pojmuje, co śmiesznego w „brzuchu Bersona" albo w „autoportrecie Mikuły". A już czcigodna pani Kamionkowa powinna sobie stanowczo wyprosić ustawicznych a niewczesnych żartów z jej osoby w każdej rewii.

Dla sprawiedliwości trzeba tu od razu wymienić Stanisława Mikułę jako wykonawcę świetnych dekoracji i Z. Zimanda w roli niezawodnego administratora.

Ref-Ren jest najmocniejszy w piosence i mocny w skeczu, natomiast nierówny w sentymentalno - dydaktycznych poematach. W przekonaniu autora wiersz „Pionier" miał być popisem Zięciakiewicza. Recytacja — może, ale słowa — w żadnym wypadku. Tym milszą niespodzianką był zgrabny i znakomicie przez autora wypowiedziany wiersz „Polskie dziecko".

Piosenki, o melodiach raczej pożyczanych, lecz z oryginalnymi tekstami, brzmiały jak nowe w ujęciu wedet polskiej sceny rewiowej: Janiny Jasińskiej, Zofii Terne, Gwidona Boruckiego i Stanisława Ruszały. Najpiękniej brzmiała pieśń z Dzikiego Zachodu Boruckiego.

Publiczność nadzwyczaj się cieszyła z powodu powrotu na scenę londyńską artystów, którzy nabrali w Ameryce werwy i poloru. Co zresztą nie zawróciło w głowie Ref-Renowi, który pozostał sympatycznie un peu lwowski batiar.

Ale oczy i uszy, ale zwłaszcza oczy, publiczności przykuł inny reemigrant — Stanisław Ruszała z Monachium. Schudł, sczerniał na tym radiowym chlebie, ale dziwnie wyszlachetniał. Ciągnęło go z powrotem na scenę i nie potrafił się oprzeć. I słusznie; to aktor z powołania. To, co Ruszała pokazał w mimicznych rolach w „Tańcu kowbojskim" i w „Polce" oraz w wokalnej roli w „Bankiecie", śmiem określić jako wyżyny sztuki aktorskiej. Stanisław Ruszała to dziś bezsporne najlepszy polski aktor komediowy na emigracji. Dzięki swym talentom mimicznym i zdolnościom tanecznym mógłby zrobić dużą karierę na scenie obcej i w filmie.

Doskonale udały się oba finały: żywiołowy półfinał taneczny w układzie Poli Gobińskiej i przyjemna piosenka „Cup of tea" na zakończenie.

Dla całości obrazu trzeba wymienić nazwiska obu filarów programu: Oleńskiej, nareszcie nie w karykaturze, i pianisty Jerzego Kropiwnickiego.

WANDA ŻARNOWSKA

Polskie talenty śpiewacze i pieśniarskie na emigracji są wcale liczne, ale niekoniecznie pierwszej młodości. Tym też wielką radością napełnił serca udany występ młodej pieśniarki Wandy Żarnowskiej, na skromną skalę w kombatanckim klubie „Pod Grzybem" w Londynie.

Pani Żarnowska, żona znanego dziennikarza i matka pięcioletniej córeczki, należy do najmłodszego pokolenia A.K. Już jako uczennica w Warszawie pod okupacją brała lekcje śpiewu od prof. Brzezińskiego. Przerwała je, jako żołnierz A.K., w chwili wybuchu Powstania. Z obozu pracy w Niemczech dostała się do 2 Korpusu, następnie do Anglii, gdzie rozpoczęła systematyczną naukę.

Talent to dla pieśniarki nie wszystko. Trzeba jeszcze ustawić głos, wybrać sobie rodzaj, znaleźć styl, oswoić się ze sceną, nauczyć gestu, mimiki, ekspresji. To wszystko nie przychodzi gładko, szczególnie gdy młody talent jest wystawiony na sprzeczne wpływy i kierunki. Nic dziwnego, że młoda pani Wanda Żarnowska stojąc dopiero u progu kariery pieśniarskiej nie wie jeszcze, jak się poruszać, jak posłużyć się gestem, jak interpretować piosenki, słowem jak znaleźć własną indywidualność i styl. Jej umiar i powściągliwość świadczą jednak dobrze o charakterze pieśniarki. Żarnowska ma najwyraźniej wiele do wyśpiewania.

Jest to talent o szerokich możliwościach głosowych i dużej skali ekspresji, w typie diseuse'y. Kiedy się wyzwoli z obecnej fazy sprzeczności i „stanie się sobą", może zabłysnąć jako pokaźna gwiazda.

WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

„WSPANIAŁY NOWY ŚWIAT"

W roku 1932 sensacją na miarę światową było ukazanie się książki Aldousa Huxleya „Brave New World", upowieściowanej wizji przyszłej totalistycznej dyktatury nad światem, znajdującej się w rękach kilku jednostek, które dla utrzymania swej władzy posługują się najnowszymi zdobyczami techniki i nauki, zwłaszcza w zakresie biologii i psychologii. Na ukształtowanie się książki wpływ niewątpliwie miały istniejące już wówczas systemy totalistyczne (przede wszystkim komunistyczny i faszystowski), oraz niezwykłe osiągnięcia nauki w różnych dziedzinach. Książka ukazała się w przekładach na różne języki, m. in. także i polski („Wspaniały nowy świat").

W blisko ćwierć wieku później autor podejmuje skomentowanie swej książki w postaci szeregu artykułów na łamach londyńskiego „Sunday Timesa", pod ogólnym tytułem „Brave New World Revisited". Ma to być rodzaj konfrontacji wizji z roku 1932 z późniejszym rozwojem wypadków na świecie.

W pierwszym z tych artykułów Huxley przyznaje, że dużym brakiem jego utopii jest nieuwzględnienie w niej „wtargnięcia" w życie świata energii atomowej. Pominięcie to — pisze Huxley — jest tym bardziej nie do wytłumaczenia, że bomba atomowa w początku lat trzydziestych była już przedmiotem salonowych konwersacji, a popularyzatorzy Eisteina głosili, że w przyszłości materia będzie mogła być przekształcana w energię. Huxley przyznaje, że nie znajduje powodów, dla których całe to ważne zagadnienie pominął.

Drugim ważnym pominięciem jest — jego zdaniem — zagadnienie grożącego przeludnienia ziemi. Sprawie tej Huxley poświęca większą część swego pierwszego artykułu, przytaczając znane już z wypowiedzi niektórych uczonych anglosaskich (zwłaszcza prof. Boyd-Orra) dane, dotyczące dysproporcji między przyrostem ludności — w chwili obecnej przybywa na kuli ziemskiej rocznie 40 milionów ludzi — a możliwościami wzrostu produkcji żywności i różnych niezbędnych surowców. Wniosek Huxleya jest taki sam jak wspomnianych już uczonych: świadome i ujęte w normy ograniczanie przyrostu ludności. Huxley wyraża nadzieję, że w ciągu najbliższych dziesięciu czy dwudziestu lat rządy różnych państw uzgodnią między sobą politykę populacyjną, a sposoby wykonania tej polityki opracowywać będą doktorzy, farmakolodzy, socjologowie i teologowie, stosując odpowiednie metody: fizjologiczne, psychologiczne i chemiczne.

Sprawa jednak nie jest taka prosta, jakby się z tej konkluzji wydawało. Nie jest najpierw wcale pewne, czy ścisłe są pesymistyczne wnioski tych uczonych, którzy w półtora wieku po Malthusie wznawiają jego tezy w stosunku do nadchodzącej epoki. Ponure przepowiednie Malthusa o grożącym rozmnażającej się ludzkości głodzie nie sprawdziły się — i to może się powtórzyć ponownie. Jeśli zaś chodzi o metody „regulacji urodzin", to opór przeciw nim rośnie nawet w tych krajach azjatyckich, które je wprowadziły po drugiej wojnie światowej (w szczególności w Japonii).

ZDEMASKOWANY ŁYSIENKO

Jedno z głównych sowieckich czasopism politycznych „Życie Partii" ujawniło obecnie po raz pierwszy, że prof. Łysienko, były prezes Akademii Wiedzy Rolniczej, „sfabrykował" dowody na poparcie swych teorii, rewolucjonizujących jakoby prawa genetyki.

Jednym z jego głównych argumentów było, że wyhodował gatunek pszenicy, która uprawiana może być z wielkim powodzeniem na Syberii. Na ten temat „Życie Partii" przynosi obecnie następującą rewelację:

„Personel badawczego instytutu rolniczego w Omsku, popierając towarzysza Łysienkę i ignorując oczywiste fakty, udowodnił rzecz, nie dającą się udowodnić w warunkach cieplarnianych na parcelach instytutu." Instrukcje Łysienki — stwierdza pismo — doprowadziły do utraty plonów tysięcy hektarów zimowej pszenicy w samym tylko Omsku.

Okazuje się, że uczeni Zachodu mieli rację, wyrażając niewiarę w „odkrycia" naukowe Łysienki.

TEATR ANGIELSKI

OKRUTNA OPERETKA WILIAMA SZEKSPIRA

Nie wszystkim zapewne wiadomo, że dla uświetnienia planu pięcioletniego, w ramach którego teatr Starej Wikty (zwany tu Old Vic) wystawia kompletną serię jego sztuk, jeden z ciekawszych dramaturgów współczesnych Wilhelm Trzęsigruszka (tubylcy zwą go William Shakespeare), przez niektórych krytyków — specjalizujących się w otwieraniu starych grobowców — mylony z XVI-wiecznym pisarzem C. Marlowe, specjalnie napisał operetkę, w której niedwuznacznie włączył się w szlachetną i tak aktualną walkę narodów świata o pokój. Tekst operetki napisał rzeczony Trzęsigruszka, muzykę Frederick Marshall, rurytańskie dekoracje i kostiumy zaprojektował Frederick Crooke, a całość wyreżyserował z maestrią Tyrone Guthrie. W każdym razie — i ja tam byłem i takie odniosłem wrażenie. A com widział, tym się z czytelnikami podzielę i opowiem o tym jak doszło do urozmaicenia monotonnego szeregu tragedii, komedii i historii przez tak niezwyczajny pod dachem Starej Wikty spektakl.



Troilus i Kressyda: Kassandra ostrzega Hektora przed walką z Achillesem. Od lewej do prawej: Margaret Courtney (Andromacha), Jack Gwillim (Hektor), Rachel Roberts (Kassandra), Job Stuart (Priam) i John Neville (Troilus).
Fot. courtesy of the Old Vic Theatre.

Troilus and Cressida (1602) jest najdziwniejszą ze sztuk Szekspira, tak dziwną, że w niektórych okresach podawano w wątpliwość jej autentyczność i aż do naszego stulecia nie zajmowano się tą sztuką zupełnie, uważając ją za bardzo słabą. Od paru dziesiątków lat sytuacja uległa zupełnej zmianie: **Troilusa i Kressydę** uznano za jedną z najciekawszych sztuk Szekspira i poddano zupełnemu przewartościowaniu. Trzeba było dwu wojen światowych na skalę **XX** wieku, aby ta nieortodoksyjna i „fałszywa", jak sądzono, wariacja na temat wojny trojańskiej ukazała w pełni swą problematykę, swój aktualny i ogólnoludzki wydźwięk. Na naszych oczach dokonało się jedno z tych fascynujących zjawisk świata sztuki: głośne nieraz dzieło nagle przemija i więdnie, a inne — niedocenione — powstałe przedwcześnie, czeka wieki na nadejście swego momentu. To właśnie stało się udziałem tej sztuki Szekspira. Piszę „sztuki", bo nie jest łatwo na pierwszy rzut oka sklasyfikować to dzieło jako tragedię, czy komedię. Jest to dramatyczna satyra: gorzka, przejmująca, straszna; tym boleśniejsza, że napisana w komediowej właściwie formie. Bohaterowie tytułowi są bohaterami pozornymi tylko. Oczywiście Szekspir zaczął od dramatyzowania średniowiecznego romansu o Troilusie i Kressydzie, który znalazł u Chaucera, ale gdy dotarł do Iliady — zapewne w przekładzie Chapmana — urzekły go inne wątki i problemy. Najpierw temat Achillesa i Ajaksa, później postać Hektora. Napływ nowej problematyki rozsadził konwencjonalne ramy, wizja autora wykroczyła daleko poza samą sztukę, która jednak nie przestała być fascynująca w każdej sytuacji i scenie. Dramaturg miał wiele do powiedzenia, choć nie troszczył się o to, j a k to powiedzieć, wiedział dokładnie, c o chce powiedzieć. Dzięki temu, mimo nawału tematycznego, **Troilus i Kressyda** zachowuje monolityczną zwartość koncepcji.

W swej sztuce Szekspir potraktował satyrycznie świat Iliady, uważany przez nas (jak i przez Homera zresztą) za bohaterski. Obnażył bezlitośnie nietrwałość i zakłamanie ludzkiej miłości, fałsz i oszustwo przywiązane do pojęcia honoru, bezsens wojny i ślepe szamotanie ludzi, wplątanych w matnię, z której nie znajdują wyjścia. Obnażył ludzkie słabości, zarówno osobiste, jak i społeczne, rozbijając gliniane nogi mitycznych kolosów. Kressyda w swojej tak silnej i zda się „wiecznej" miłości, przy pierwszej okazji okazuje się niewierną Troilusowi rozpustnicą. Achilles przedstawiony jest jako sadysta i zbrodniarz, odwdzięczający się za darowane życie Hektorowi podstępnym zamordowaniem go przez nasłanych zbirów. Trojanie są w tej sztuce zniewieściali i zepsuci, Grecy kłótliwi, zarozumiali i chciwi głupcy. Trzeba w tym miejscu zauważyć, że Trojanie są tu jednak sympatyczniejsi niż Grecy. Nie zapominajmy, że Anglia przeżywała w owym czasie okres wojującego nacjonalizmu, a w myśl panujących wówczas przekonań Anglicy byli właśnie potomkami Trojan (jeden z rycerzy trojańskich miał się osiedlić w Brytanii) i Londyn bywał określany jako „Troia Nova triumphans". Mimo oficjalnego odrzucenia mitów trojańskich jak i arturiańskich wypadało podkreślać, że Trojanie (przodkowie publiczności) byli dobrzy, a Grecy źli. Ale różnica między jednymi i drugimi jest względna. Być może, iż ponurą tendencją sztuki Szekspir zamierzał dać ostry morał Anglii, wyczerpanej wojnami francuskimi i z trudem zjednoczonej po wojnach Róż: że wojny rozpalają się z powodów równie błahych, co powikłanych i w konsekwencji muszą przynieść skutki jak najbardziej fatalne. Dla bohaterów sztuki nie ma nadziei: muszą zginąć, lub zmarnować swe człowieczeństwo. **Troilus i Kressyda** — to tragedia naszych czasów, napisana z gorzką — satyryczną — wesołością. Nasze czasy więc mogły tę sztukę ocenić najpełniej. Gdy znikły bogate mundury i szychy okrywające napuszoną nicość, gdy świat stał się ruiną z winy maniaków kreujących się półbogami, gorzkim śmiechem uznania akceptujemy szekspirowską wizję świata zawartą w jego satyrze, która bardziej pobudza do myślenia niż dydaktyczny wykład. Niezapomniany jest efekt sceny uczty w akcie III, gdzie przywódcy obu stron odkrywają w sobie wzajemną ludzką sympatię, by rozejść się do dalszej walki na śmierć i życie: bo urojone imponderabilia nie pozwalają im na załatwienie sporu wprost — a tak niewiele brakowało. Właśnie taki jest kłopot z ludźmi: że w teorii tak niewiele trzeba, by się porozumieć, a tak wiele, gdy się zważy teorię na szali skrzeczącej rzeczywistości. A czasami na odwrót: praktyczna sympatia ludzi niwelowana jest przez nieustępliwość sztywnej doktryny.

Gdy się rozważa problematykę **Troilusa i Kressydy**, trudno jest uniknąć porównań z powstałą 25 lat wcześniej **Odprawą posłów greckich** Kochanowskiego. (Pomijam porównania z nowoczesnymi interpretacjami wojny trojańskiej, z których najciekawszą może jest dowcipna, choć nie specjalnie głęboka komedia Giraudoux **La Guerre de Troie N'Aura pas Lieu**). Oczywiście formalne różnice są znaczne. Szekspir pisał w kraju o bogatych własnych tradycjach dramatycznych; pisał sztukę sceniczną par excellence —: o wielkim rozmachu akcji. Kochanowski w pewnym sensie działał w próżni. Napisał okolicznościową sztukę na dworską uroczystość, w braku rodzimej tradycji opierając się o wzory klasyczne, tj. dramat Eurypidesa i Seneki. Konwencja ta znacznie ograniczyła możliwości dramatyczne Kochanowskiego. Gdy Szekspir stał mocno na deskach swego przemyślnego — technicznie rzecz biorąc — teatru i nie cofał się przed podjęciem żadnego tematu, przed bezpośrednim pokazaniem każdej sytuacji i plastycznym ujęciem charakteru, Kochanowski stosował chór, narrację wydarzeń przez „posła" i właściwie akcja całej jego sztuki ogranicza się do tego, co u Szekspira stanowiłoby jedynie ekspozycję. Ale mimo tych formalnych różnic w podejściu do tematu, problematyka i wydźwięk były podobne. (Pomijam sprawę stylu i poezji, zaznaczając tylko, że jako poeta Kochanowski nie ustępuje swemu angielskiemu konfratrowi). Szekspir pisał do współczesnych i naszpikował swą sztukę angielskimi aluzjami. Podobnie i najbardziej znamienną cechą **Odprawy** jest jej polski charakter. Sztuki obu poetów nie były ćwiczeniami w starożytnościach, ale miały na celu bezpośrednie oddziaływanie na widzów i podsunięcie pewnych politycznych myśli. Obaj chcą wykazać, że państwo stoi jednością i lojalnością, a podzielone w sobie upada. Co więcej — zarówno dla Kochanowskiego, jak i dla Szekspira, właśnie Troja, a nie Grecja jest obrazem ich własnych krajów. Obraz Troi nakreślony przez Ulissesa w czwartym Epeisodionie **Odprawy** („O nierządne królestwo i zginienia bliskie...") jest zdumiewająco podobny do charakterystyki Trojan zawartej w sztuce Szekspira. Kochanowski jest jednak dydaktykiem, a Szekspir bardziej artystą, i w tym też leży źródło jego wyższości nad polskim dramaturgiem. Kochanowski w serii długich oracji gromi („O nierządne królestwo..."), poucza („Wy, którzy pospolitą rzeczą władacie...") i propaguje („Radźmy, jak kogo bić; lepiej niż go czekać"). W pewnym sensie jest „łatwym optymistą": nawet wojna nie jest dla niego złem, byle ubiec wroga. Nie wchodzi w sprężyny wydarzeń, ale kontentuje się polskim „jakoś to będzie". Szekspir nie poucza, a pokazuje. W szeregu scen odsłania nam mechanizm ludzkiego działania — indywidualnego i politycznego. Komentarz uważa za zbyteczny (chyba tylko w słowach cynicznego „cywila" Tersytesa, „niezaangażowanego" w wydarzeniach rozgrywających się koło niego). Jako artysta, Szekspir nie czuje się upoważniony do rozjaśniania ciemnego horyzontu sztucznym światłem taniej nadziei. Dla patrzących uważnie zawarł w swej sztuce wystarczające ostrzeżenie, choć nie stawiał kropek nad i.

Idąc do teatru Old Vic na przedstawienie **Troilusa i Kressydy** uważałem, że akcję sztuk Szekspira można umiejscawiać trojako, w zależności od elementów, które się chce przede wszystkim wydobyć w koncepcji inscenizacyjnej. Można osadzić akcję w epoce, której dana sztuka dotyczy (a więc np. akcję **Juliusza Cezara** w Rzymie jego epoki), jeśli chce się wydobyć jej historyczność. To jest oczywiście przyjęta współczesna interpretacja, zakładająca wierne odtworzenie danej epoki. Drugi sposób to wystawienie każdej sztuki (nawet **Cezara**) w kostiumach epoki elżbietańskiej. To jest metoda, którą określić można jako akademicką i chodzi w niej głównie o wydobycie związków danej sztuki z epoką, w której sam Szekspir żył i tworzył. Wreszcie trzecia metoda — eksperymentalna — polega na wystawianiu sztuk Szekspira w kostiumach nowoczesnych (a więc Cezar we fraku). Chodzi w niej o podkreślenie aktualności problematyki Szekspira dla naszej epoki, a więc uniwersalności wielkiego dramaturga. W Old Vic zastosowano metodę jeszcze inną, mianowicie osadzono akcję **Troilusa i Kressydy** w epoce edwardiańskiej (wedle oficjalnego oświadczenia), a w praktyce — sądząc po kostiumach — nawet w epoce wiktoriańskiej, sięgając aż do wojny krymskiej. A więc bohaterowie greccy ubrani zostali w malownicze kostiumy tego okresu. Mundury nie były zresztą polowe (choć była to wojna i nawet generałowie mieszkali w namiotach), ale galowe — świecące złotem szamerowań, srebrem półpancerzy, bijące w oczy galonami, pióropuszami, wyłogami, epoletami. Odruchy wewnętrznego buntu, jakie odczuwałem patrząc na rurytańską i całkowicie operetkową maskaradę, zostały rychło stłumione, co jest zrozumiałe, jeśli się zważy, że reżyserem był Tyrone Guthrie.

Guthrie jest niewątpliwie największym dziś reżyserem brytyjskim. Odznacza się on nie tyle może głębokością, co szczerością i rozmachem wizji, oraz techniczną wirtuozerią. Nowa jego inscenizacja stała się wydarzeniem, zwłaszcza, że był to jego pierwszy występ w Old Vic od czasu niezapomnianej koronacyjnej inscenizacji Henryka VIII, trzy lata temu. Otóż operetkowe ujęcie **Troilusa i Kressydy** przez Guthrie nie dopuszcza protestu, bowiem zostało przeprowadzone tak konsekwentnie, logicznie i wspaniale, że... niemal przekonuje. A przecież Szekspir napisał satyrę, nie groteskę, jak można by sądzić po interpretacji Guthrie. Zapewne reżyser uważał, że osadzając sztukę w naszych czasach, musiałby poważne problemy poruszane przez Szekspira potraktować zupełnie serio. Gdyby natomiast osadził sztukę w starożytności, zatraciłby w znacznej mierze jej aktualny wydźwięk. Zdecydował się więc na rozwiązanie kompromisowe i osadził ją w epoce, która jest dostatecznie bliska, by czuło się aktualność traktowanych problemów, a dostatecznie odległa (i odgraniczona od naszej ponurym progiem pierwszej wojny światowej), by można ująć ją groteskowo. A więc wszystkie efekty wydobyto w sposób przesadzony. Generałowie obnosili się z przesadnie napuszoną powagą i przemawiali z groteskową pompatycznością. Żołnierze trzaskali obcasami i wykonywali ruchy musztry w sposób należycie hałaśliwy i archaiczny itd. Dekoracje z pretensjonalnych draperii, pęków sztandarowych i broni uzupełniły należycie orgię kostiumową.

Niektóre szczegóły, jak edwardiański pawilonik i rozegrana w nim scena między Heleną (grającą na fortepianie z papierosem w półmetrowym ustniku), Parysem i Pandarusem (akt III, scena 1) był prawdziwym tour de force. Wszystkie sceny tłumów były zaaranżowane przez reżysera z nieomylnym wyciągnięciem maksimum efektu, i z precyzją do najdrobniejszego szczegółu. Takiej roboty reżyserskiej nie widzieliśmy w Londynie od lat. Nie sposób odmówić ten inscenizacji wyobraźni, inwencji i swoistego czaru. Ale choć reżyser, scenograf (F. Crooke) i kompozytor (F. Marshall), a także i aktorzy wyżyli się w niej do woli, może nie była ta inscenizacja zupełnie „fair" dla... librecisty. Szekspir napisał, jak wspomniałem, satyryczną tragedię, a nie groteskową farsę. Publiczność bawiła się doskonale i śmiała się cały czas, ale był to nie ze wszystkim taki śmiech, jaki autor zamierzał. W programie zamieszczono notę wyjaśniającą współczesnej publiczności „mniej klasycznie a bardziej technologicznie wykształconej" podstawowe fakty wojny trojańskiej (że Parys porwał Helenę itd.) oraz podano, co Szekspir zamierzał w swej sztuce wyrazić. Ale inscenizacja nie wydobyła tego, co podała programowa nota. Ułatwiając sobie zadanie, także je utrudniono: edwardiańska Rurytania, w każdym calu bijąca ze sceny, stępiła ostrze proroczej wizji poety i przyćmiła jej większą niż kiedykolwiek aktualność, choć z drugiej strony dostarczyła publiczności kapitalnej i jedynej w swoim rodzaju rozrywki.

Aktorzy grali zespołowo — czemu sprzyjało równomierne rozłożenie wagi poszczególnych ról w sztuce — i spisali się świetnie. Podobnie jak przy **Otellu** stwierdzić muszę, że sezon kończy się bez porównania lepiej, niż się zaczynał. Wybił się Paul Rogers jako wspaniały Pandarus. Aktor ów, dobry w rolach poważnych, celuje jednak w rolach komicznych. Jest on najlepszym Falstaffem ostatnich lat, a teraz dał nam niezapomnianą perłę w charakterystycznej kreacji. Jego Pandarus jest przebojowy i subtelny zarazem. John Neville i Rosemary Harris bardzo ładnie zagrali role tytułowe, wkładając w nie wiele uczucia i świetnie się dopełniając wokalnie oraz wzrokowo. Wśród „generalicji" doskonale zagrali swe role: Jack Gwillim (Hektor), Richard Wordsworth (Ulisses), Dudley Jones (Nestor), Derek Francis (Agamemnon). Clifford Williams był znośnym Tersytesem, a Margaret Courtney dała sobie świetnie radę w podwójnej roli Andromachy i Heleny (w tej [illegible]). Role Achillesa (Charles Gray) i Patroklusa (Jeremy Brett) zostały przez reżysera potraktowane — z niewielkim uszczerbkiem dla tekstu — jako ostre studium sadyzmu i homoseksualizmu; rezultat był miejscami dość przejmujący.

Puryści mogą kruszyć kopie o sposób potraktowania przez Guthrie **Troilusa i Kressydy**. Ale wśród zalewu komedii muzycznych, operetek i rurytańskich awantur, jakim nas i dziś raczą teatry, z prawdziwą przyjemnością wybrawszy się do teatru Old Vic, że w tych wszystkich rozgrywkach — i pod innymi względami — górę nad innymi aktorami bierze zdecydowanie zawsze młody dramaturg nazwiskiem William Szekspir.

Bolesław Taborski

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 10 czerwca 1956.

NASZE SPRAWY

SŁÓWKO NA TEMAT DŁUGOSZA I KADŁUBKA

Jestem subiektem w angielskiej księgarni i chciałbym się podzielić z polskimi czytelnikami jednym zrobionym w tej księgarni spostrzeżeniem: jak szeroko publiczność angielska czyta kronikę świętego Bedy.

Św. Beda był anglosaskim mnichem benedyktynem, który żył w latach mniej więcej 683-735, a więc prawie na 500 lat przed naszym błogosławionym Wincentym Kadłubkiem i pozostawił po sobie kronikę — pisaną oczywiście po łacinie — pt. „Historia ecclesiastica gentis Anglorum", zawierającą opis szczegółów burzliwej i smutnej epoki dziejów tej wyspy, jaką były tak zwane „ciemne wieki" (dark ages).

Kronika ta istnieje dziś w Anglii w dużej ilości wydań, zarówno popularnych, jak naukowych, zarówno w łacińskim oryginale, jak w przekładach. Popularne wydanie Biblioteki Pingwina, sprzedawane po 3/6, jest czymś w rodzaju „best-selleru"; nigdy nie można nadążyć z dostarczaniem go publiczności.

Porównania tego typu trudno jest robić, są one zawsze zawodne, ale zaryzykowałbym twierdzenie, że książka ta jest wśród Anglików nie mniej, a może nawet więcej czytana, niż u nas są na przykład „Pamiętniki" Paska. Jest ona stałym elementem, kształtującym świadomość historyczną warstwy wykształconej.

Jest ona także czytana w szkołach — w łacińskim oryginale. Anglicy, uczący się łaciny, czytają nie tylko łacińską literaturę klasyczną, lecz także i średniowieczną. Nawiasowo mówiąc, istnieje w Anglii po dziś dzień klasa świeckich ludzi wykształconych — niezbyt liczna, ale także i nie składająca się z jednostek całkiem wyjątkowych — którzy po łacinie umieją czytać i stale, regularnie czytają. U nas, klasa ludzi n a p r a w d ę znających łacinę, to znaczy czytających dzieła łacińskie tak swobodnie, jak czytają książki niemieckie, francuskie czy angielskie (a tym bardziej, zdolnych do napisania po łacinie choćby najprostszego listu), wyginęła poza duchowieństwem już w XIX wieku.

Otóż uderzyło mnie jedno spostrzeżenie; znana naszemu ogółowi, ojczysta tradycja literacka sięga XVI wieku, a więc zupełnie nie obejmuje średniowiecza, podczas gdy wszystkie inne narody europejskie, a nawet Rosjanie, mają tradycję literacką tysiącletnią. Możnaby sądzić, że jesteśmy tacy młodzi i ubodzy. Ale tak wcale nie jest. Jesteśmy, oczywiście, młodsi od krajów, które leżały w zasięgu cywilizacji a n t y c z n e j, ale zgoła nie jesteśmy pozbawieni bogatej, twórczej i żywotnej, własnej tradycji cywilizacyjnej ś r e d n i o w i e c z n e j. Wręcz przeciwnie: byliśmy w średniowieczu całkiem skrystalizowani moralnie i ideowo i to, czym staliśmy się w średniowieczu, dało nam kierunek i impet, którym żyjemy po dziś dzień; staliśmy się mianowicie wielkim narodem katolickim. Byliśmy w średniowieczu inni od innych narodów i oryginalni. Dość wymienić doktrynę Pawła Włodkowica i wszystkie nasze zmagania z zakonem krzyżackim, które przecież miały nie tylko charakter polityczny, lecz i zupełnie wyraźną treść ideową, dającą się sprowadzić do tezy, że nawracając pogan, trzeba przede wszystkim stosować środki pokojowe.

Taki Długosz był w swojej epoce wielką gwiazdą. Z pewnością nie ma w XV wieku w całej literaturze światowej ani jednego historyka, który mógłby się z nim równać, czy to metodą naukową, czy talentem pisarskim. A z ręką na sercu: ilu wykształconych Polaków czytało Długosza? Nie jakiś drobny fragment, jakichś parę stronic, ale poważniejsze jego prace? Niewielu — choćby z tej przyczyny, że w Polsce między wojnami nie było Długosza w dostępnych wydaniach w handlu. Ani po polsku, ani po łacinie. (Wydanie Biblioteki Narodowej to były tylko drobne fragmenty).

A Kadłubek? Zwykło się było w Polsce wyśmiewać się (na nieczytanego) z Kadłubka. Oczywiście, nie był to historyk w pojęciu dzisiejszym. Jego teorie o dawniejszych czasach nie mają wartości naukowo - historycznej. Ale do dziejów swojej epoki jest on, jako kronikarz, źródłem wartościowym. A obok tego, jest to literat i moralista, który pracował nad wychowaniem narodu, który na przykładach z prawdziwych lub urojonych dziejów uzasadniał tezy moralne i moralno - polityczne, który żłobił i kształtował swoim wpływem duszę zbiorową narodu.

A przecież nasza literatura średniowieczna, to nie tylko kronikarze i historycy. To także i nasze akty prawne i polityczne, to nasze unie i przywileje. To Paweł Włodkowic. To procesy z Krzyżakami, listy, zeznania świadków. To wreszcie nasza poezja łacińska.

To prawda, że to wszystko było pisane nie w języku narodowym, ale po łacinie. Ale po pierwsze, św. Beda także pisał po łacinie, a jednak czytają go dziś Anglicy szeroko. A po wtóre, czy to takie ważne? To jest nasza narodowa literatura, to są dzieła naszych przodków, zrodzone na naszej ziemi, wykwitłe na podłożu jej życia — i które przez wieki były naszym literackim pokarmem. A przecież średniowiecznych zabytków dzisiejszych czytelnik i tak w żadnym kraju nie zrozumie w oryginale bez nauczenia się dawno umarłego języka, staro-saskiego, staro-francuskiego, cerkiewno - słowiańskiego. Czy Anglik zrozumie dziś utwory Chaucera? Czy Francuz przeczyta dziś Tristana i Izoldę? Niemiec — Pieśń Nibelungów? Rosjanin — Słowo o pułku Igora? Szwed — sagi skandynawskie? Gdybyśmy chcieli, to moglibyśmy równie łatwo, a może i łatwiej pielęgnować tradycję literacką Długosza i Kadłubka jak Niemcy pielęgnują tradycję Nibelungów.

My nie jesteśmy pozbawieni tradycji kulturalnych średniowiecznych, myśmy się od nich tylko odwrócili.

Przyczyna tego jest prosta: myśmy w średniowieczu byli narodem katolickim, myśmy nie mieli naszych albigensów, ani naszego Husa, ani naszego Fryderyka II. Mieliśmy co prawda Ostroroga — i jakoś tak się składa, że o nim doskonale wiemy; każde inteligentne dziecko wie w Polsce o Ostrorogu, ale prawie żadne nie wie o Włodkowicu.

A tymczasem od czasów stanisławowskich nasze życie umysłowe jest antykatolickie. Jesteśmy narodem katolickim; w naszych masach, w naszej psychice zbiorowej wciąż króluje duch katolicki — i dlatego także nasza poezja i powieść, nieraz bez mała mimo woli, nieraz niejako wbrew osobistej postawie autorów, oddychają kulturą katolicką i dają wyraz katolickim uczuciom. Także i przysłana z Warszawy wystawa sztuki ludowej, którą przed kilku dniami oglądaliśmy w Londynie, nie miała w sobie nic marksistowskiego, lecz była w praktyce wystawą sztuki religijnej. Ale chłodna myśl naukowa o wiele skuteczniej broni się przed duchem narodu. Postawa „elity" umysłowej polskiej od czasów przewrotu umysłowego w wieku XVIII jest antykościelna. Przypatrzmy się bliżej poglądom i życiorysom naszych historyków, naszych historyków literatury, naszych krytyków i publicystów kulturalnych! Nie mówię oczywiście o wyjątkach; mówię o dominującym już od 150, od blisko 200 lat nurcie. Jeden w drugiego to są ateusze, masoni, krytycy Kościoła katolickiego, wielbiciele reformacji, entuzjaści arian, żałobnicy po niedoszłym do skutku, zygmuntowsko-augustowskim kościele narodowym, chwalcy Kazimierza Jagiellończyka i krytycy kardynała Oleśnickiego, chwalcy Władysława IV i krytycy Zygmunta III, wielbiciele Marysieńki i wrogowie prymasa Olszowskiego, apologeci rewolucji francuskiej.

Dla takiej myśli historycznej i dla takiej postawy kulturalnej nasze tradycje średniowieczne są rzeczą ambarasującą. Polska ostatnich dwustu lat świadomie się od swych tradycji średniowiecznych odcięła. I dlatego, w świadomości przeciętnego Polaka kultura polska zaczyna się od reformacji, literatura polska zaczyna się Mikołaja Reja. Długosz, Kadłubek, Włodkowic — to dla niego zasuszone rupiecie, nie mające związku z życiem i nie warte zapoznania się z nimi.

Otóż czas już tę naszą postawę zmienić. 400-letni reformacyjny i „oświecony" okres naszych dziejów się kończy. Przeciwieństwa zarysowują się dzisiaj w całej jaskrawości i prostocie. Albo jesteśmy narodem katolickim — albo nim nie jesteśmy.

Musimy wyraźnie i stanowczo wrócić do katolickich źródeł i podstaw naszego życia, naszej historii, naszej kultury i naszej duszy.

A wobec tego — musimy także przypomnieć sobie i nasze zapomniane, lekceważone, wstydliwie przemilczane średniowiecze.

POLONUS

PO ŁEPKACH

KSIĄŻKA Z KRAJU

W ostatnich miesiącach zaostrzyła się sprawa książki z Kraju. Do niedawna przedstawicielstwa wydawnictw krajowych działały nieśmiało i oferowały starannie przesiane książki. Od pewnego czasu instytucje reżymowe zaczynają je natarczywie wpychać, rozsyłać masowo i bezpłatnie, przy czym już nie przebierają w tytułach, a główny nacisk kierują na uczącą się młodzież. Do niedawna „Czytelnik" i inne wydawnictwa państwowe posiadały przedstawicieli, występujących z otwartą przyłbicą. Nikt im źle nie życzył, ale każdy wiedział, z kim ma do czynienia. Dopiero od pewnego czasu kilka firm emigracyjnych też się podjęło pośrednictwa między wydawnictwami państwowymi a emigracyjnymi. Szydło z worka wyszło przy okazji puszczenia w obieg katalogu wydawnictwa krajowego „Prasa i Książka" w obcych językach. Wymieniono w nim jako przedstawicieli kilka firm emigracyjnych. Jedna z nich ogłosiła publicznie, że stało się to bez jej zezwolenia. Ale kilka pozostałych nie ogłosiło, o ile nam wiadomo, żadnego w tej sprawie oświadczenia. Istnieje też podejrzenie, że oprócz firm wymienionych w reżymowym katalogu, po cichu porozumienie zawarły również inne. Ale to może plotka.

W ciągu ostatniego roku bodaj wszyscy księgarze emigracyjni otrzymali nęcące propozycje handlowe ze strony wysłanników wydawnictw reżymowych. Nie brakło również oferty „katolików społecznie postępowych". Prawie wszyscy księgarze zwalczyli pokusę, dając świadectwo, że rozumieją księgarstwo na emigracji jako posłannictwo, a nie jako popłatny interes. Autor tych słów szczyci się przyjaźnią jednego z najuboższych księgarzy, który także odrzucił lukratywne ponęty i pozostał przy nędzy swojego składziku z tomem poezji o ziemi wileńskiej. Tak więc pierwsze natarcie na wolne księgarstwo polskie zostało odparte, z małymi stratami. Ale walka nie jest skończona, a siły są nierówne.

Trzeba, oczywiście, rozróżniać dwie sprawy: księgarstwa i książki. Sprawa książki ma zresztą też dwie strony: krajową i emigracyjną.

Związek Księgarzy i Wydawców formalnie nie istnieje z powodu różnic wewnętrznych, ale jego główni członkowie: Alma Book Co., Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas", Księgarnia Polska „Orbis" i Wydawnictwo Polskie „Tern-Rybitwa", działają nadal w porozumieniu. Ostatnio wymienione ośrodki księgarsko-wydawnicze podjęły planową akcję w sprawie wydawnictw z Kraju, w wyniku której czynniki społeczne powołały „Radę Książki". Jej zadaniem ma być opiniowanie wydawnictw z Kraju z punktu widzenia emigracji politycznej i jej celów naczelnych. Księgarze i wydawcy postąpili jak najsłuszniej: powierzyli opinię o książkach czynnikom społecznym, nie zainteresowanym bezpośrednio w handlu księgarskim.

Poza stosunkiem do książki z Kraju, w grę również wchodzi los książki emigracyjnej. Upaństwowione wydawnictwa krajowe zalewają rynek emigracyjny książkami sprzedawanymi po cenach niższych od kosztów produkcji. W handlu nazywa się to „dumpingiem". Akcja ta jest, rzecz jasna, świadoma i planowa. Reżym rzuca te książki na rynek nie z miłości dla emigracji i nie dla żadnych płaczliwych sentymentów, ale w dwu jasnych celach: aby zdobyć obce waluty i aby wpływać ideowo i rozkładać emigrację. Reżym tedy książki używa jako broni przeciw emigracji. Księgarze doskonale zdają sobie z tego sprawę. Natomiast udawanie niewiniątka, nie rozumiejącego tej sprawy, mało ma wspólnego z wywieszaniem sztandaru emigracji politycznej. A co najmniej już księgarstwo emigracyjne ma prawo do obrony.

Śmiesznie niska cena większości książek krajowych godzi pośrednio i bezpośrednio w wydawców emigracyjnych. Czytelnik przyzwyczajony do niskiej ceny książki krajowej, niechętnie nabywa dość drogą książkę emigracyjną, a już wcale się nie waha mając tę samą książkę do wyboru za kilka i za kilkanaście szylingów. Żmudna praca tłumaczy i wydawców emigracyjnych nad przekładami z literatur obcych może być obrócona w niwecz przez dysponujące fantastycznymi środkami wydawnictwa krajowe. To samo tyczy wznowień z literatury polskiej. Ten sam problem rozciąga się również na literaturę dla dzieci i młodzieży oraz na podręczniki szkolne.

Ale, mimo wszystko, ani nie los księgarzy i wydawców, ani nie los książki i autorów emigracyjnych jest jądrem zagadnienia.

Zagadnienie brzmi następująco: czy każda książka z Kraju jest dobra, a skoro nie, jak zapobiec przenikaniu na emigrację książek szkodliwych i wrogich?

W prasie emigracyjnej zaczęła się właśnie dyskusja nad tym zagadnieniem. Naszym zdaniem, głosy, które padły, odznaczają się brakiem równowagi. Po jednej stronie uszykowali się zwolennicy „złotej wolności", a więc tolerowania każdej książki z Kraju, po drugiej rzecznicy kagańca, oczywiście nie oświaty.

Sprawa książki z Kraju nie jest prosta i nie da się załatwić żadnym pryncypialnym rozwiązaniem. Jedno jest pewne: że podejmowanie się przedstawicielstwa wydawnictw krajowych oznacza współpracę z reżymem, czego żadna sofistyka nie ukryje i nie wykręci.

Przystępując do zagadnienia samej książki, trzeba najpierw stwierdzić, że księgarze i wydawcy na emigracji, podobnie jak przytłaczająca większość społeczeństwa, obrali drogę pośrednią. Uznają, że z Kraju przychodzą książki i bardzo pożyteczne i bardzo szkodliwe, i dobre i złe. Głosy, że każda książka z Kraju jest zła i szkodliwa, są odosobnione. Toteż księgarnie emigracyjne sprzedają mnóstwo wydawnictw krajowych, a czytelnicy mają pod dostatkiem dobrej lektury z Kraju. „Rada Książki" nie po to też powstała, aby kogokolwiek powstrzymywać od kupna i czytania książek z Kraju, lecz po to, aby wydać opinię, które z nich, jej zdaniem, są szkodliwe, a które nie. Zadaniem „Rady Książki" będzie zatem zalecanie jednych, a przestrzeganie przed drugimi wydawnictwami z Polski. Dlatego akcji księgarzy i wydawców nie można określać „niepoczytalnymi próbami zwalczania wydawnictw krajowych", jak to dosadnie napisał jeden z niezrzeszonych księgarzy w swoim biuletynie.

Z innej strony padło określenie: „niedoszli cenzorzy emigracji". Wyraz „cenzura" ma złą sławę. Czy jednak istniało kiedykolwiek pod słońcem lub istnieje dziś społeczeństwo bez żadnej cenzury? Dziwny paradoks: pełnej wolności dla książki z Kraju domagają się emigranci polityczni, którzy m. in. dlatego przebywają na emigracji, że w Kraju uprawia się najhaniebniejszą cenzurę i sławi tę metodę w tak gorliwie bronionych przez emigrantów książkach. Cenzura jednak nie jest sowieckim wynalazkiem, lecz tylko wykrzywieniem i sparodiowaniem w zasadzie nieodzownego środka zapobiegania anarchii, cynizmowi i rozprzężeniu obyczajów. Przecież cenzura obowiązuje nie tylko katolików, ale i wszystkie cywilizowane społeczeństwa, jeśli idzie o obyczaje. Poza tym zupełna dowolność w takich, powiedzmy, sprawach, jak wybór podręczników szkolnych czy metody zwalczania przeciwników politycznych, albo praw i urządzeń państwowych, prowadziłaby do absurdu. Nie bójmy się słowa cenzura. Cenzura może być słuszna i niesłuszna, godziwa i niegodziwa. Do cenzury ma święte prawo Kościół, czynniki wychowawcze, szkolne i inne. Dlaczegoż to nikt nie protestuje przeciw cenzurze filmowej, obowiązującej cały kulturalny świat?

Tym bardziej cenzura katechizmu i podręcznika szkolnego jest nie tyle przywilejem, co twardym i koniecznym obowiązkiem powołanych do tego czynników. Nie może być inaczej na emigracji i nie wolno nam pozwalać na uczenie dzieci z katechizmu reżymowych katolików, ani z elementarza z wierszykami ku czci Dzierżyńskiego, ani z żadnego podręcznika szkolnego i akademickiego, zniesławiającego dzieje i kulturę ojczystą, czy wiarę, ani żadnej książki głoszącej materializm dialektyczny i dziejowy. A ponieważ cała nauka w Polsce jest dziś sfałszowana, więc nie ma miejsca na emigracji na żaden podręcznik szkolny wydany w Kraju po roku 1939. Wszak te podręczniki są już nawet w Polsce określane dziś, jeszcze ciągle nieśmiało, jako szkodliwe. A określenia, co szkodliwe, nie może dokonywać prywatnie nauczyciel czy inny wychowawca na własną rękę, bo to jest zadanie czynników społecznych.

Cenzurę zresztą uprawiają zwykle ci sami ludzie, którzy by pragnęli uchodzić za niezmiernie wolnomyślnych. Księgarz i wydawca, który rzucił zdanie o „niepoczytalnych próbach zwalczania wydawnictw krajowych", poprzedził nim ich katalog, a umieścił w nim, z małymi wyjątkami, te tylko książki, które sprzedają wszyscy księgarze emigracyjni. Jest to wybór dokonany z punktu widzenia emigracji politycznej, odwiany z plew marksizmu, leninizmu i stalinizmu. Zresztą, mimo demokracji ludowej, nic się nie dało zmienić w „Kuchni polskiej", ani w problemie „Szyję sama", ani w „Pieśniach solowych" Moniuszki, ani w haftach i strojach ludowych, ani w pismach Calderona ni Cervantesa. „Rada Książki" mogłaby bodajże obiema rękami podpisać się pod takim katalogiem. Idzie tylko o to, aby żaden księgarz emigracyjny nie musiał się w pojedynkę trudzić cenzurą (tak, cenzurą!), lecz żeby to zrobiło poważne i kompetentne ciało społeczne i żeby zalecenia obowiązywały moralnie wszystkich, nie pozostawiając pola dla kryteriów osobistych.

We wspomnianym katalogu czytamy: „Jesteśmy emigrantami politycznymi, dostatecznie uświadomionymi, by rozróżnić plewę od ziarna, arcydzieło literatury od wstępu czy posłowia, napisanego w myśl zasad marksistowskiego literaturoznawstwa". Czy nie za wiele pewności siebie? Bo w takim stwierdzeniu mieści się przekonanie, że emigranci polityczni są tak wszechstronnie biegli w różnych dyscyplinach, że im absolutnie nic nie grozi. Po cóż więc biorą do rąk, dajmy na to, książki do nauki? Jakie zaś są skutki tej pewności siebie, o tym świadczą pożałowania godne reklamy księgarń emigracyjnych: dzieł antykatolickich, paszkwilów na Kościół, materialistycznych dzieł przyrodniczych, astronomicznych itd. Niektórzy nauczyciele, nawet w Wielkiej Brytanii, dają dzieciom do rąk czytanki z portretem Bieruta. Czy istotnie pewny siebie księgarz sprawdził, że wszyscy emigranci polityczni są „dostatecznie uświadomieni"? A może są i tacy, którzy pragną być uświadomieni?

Pewna publicystka wysuwa w londyńskich „Wiadomościach" argument, że do walki z komunizmem potrzebna jest znajomość jego ideologii i że zatem, w myśl „elementarnych zasad każdej taktyki wojennej" należy „rozpoznać przeciwnika", przy czym „w epoce, gdy kombatantem jest dziecko i kobieta i starzec, każdy ciura ma prawo do pełnej znajomości spraw, o które walczy". To już czysta butada. Któż komukolwiek na emigracji zabrania studiowania zagadnień marksizmu? Ale żeby wszyscy emigranci naraz mieli studiować te problemy na własną rękę, to już pewna przesada. Żarliwość sympatycznej publicystki dochodzi do takiego zenitu, że wymyka się jej zdanie: „Dlatego, gdyby książek z Polski dostarczał nam sam diabeł z ogonem, należałoby mu podziękować staropolskim „Bóg zapłać" i czytać". Otóż właśnie, dostarczanie książek z Polski, to czasem iście diabelska sprawka i lepiej, żeby się do niej nie mieszali emigracyjni księgarze. Jestem zresztą w osobistym kłopocie, gdyż publicystka „Wiadomości" honoruje i niżej podpisanego „zacną kompanią". A skoro gotowa jest też pod drugą rękę ująć kmotra Belzebuba, nie wiem, dokąd byśmy tak razem mogli zawędrować.

O wiele bardziej niepokojące są poglądy przeciwne. W „Gazecie Niedzielnej" z dnia 3 czerwca br. ukazał się nie podpisany artykuł, którego wnioski są zatrważające. Autor zadaje sobie pytanie, czy w ogóle w Kraju mogą wychodzić „dobre książki" i sam na nie odpowiada, że stanowczo nie. „...Każda instytucja wydawnicza w Kraju — pisze anonimowy autor — jest czołówką ZSSR, a więc narzędziem powolnym komunizmowi. W tych warunkach książka, którą uznajemy za dobrą, też w gruncie rzeczy jest zła, gdyż spełnia rolę wabika i wciąga czytelnika w orbitę wydawnictw wrogich sprawie polskiej." „...Dziś czas już powiedzieć: dość tolerowania tej wrogiej dla Kraju propagandy, tego trucia wszystkiego i wszystkich fałszem." „Trzeba sobie postawić pytanie i zdobyć się na jasną odpowiedź: czy my tu na emigracji kupując, używając i zalecając wydawnictwa krajowe tym samym nie idziemy na rękę reżymowi w jego akcji podporządkowania Polski Sowietom?"

Stąd wniosek, że kupno, używanie i zalecanie pism zbiorowych Mickiewicza jest akcją podporządkowania Polski Sowietom, a „Życie Chrystusa" Ricciottiego w polskim przekładzie „Paxu" „wabikiem w orbitę wydawnictw wrogich sprawie polskiej". Wnioski te są tak absurdalne, że nie warto z nimi polemizować. Warto tylko zwrócić uwagę na dwie sprawy. Po pierwsze: co lepsze, czy zupełna ciemność, czy mdłe światło? Czy lepiej, żeby się dziecko polskie nie nauczyło raczej niczego, niż żeby miało się dowiedzieć części prawdy lub prawdy częściowo skażonej? Czy lepiej w ogóle nie uczyć dzieci pisać, czy ostatecznie lepiej je uczyć z elementarza ozdobionego portretem Bieruta (na szczęście, ta smutna alternatywa nie zachodzi, gdyż na emigracji można się zaopatrzyć w przyzwoity elementarz)? Czy lepiej przeczytać wspaniałe dzieło ks. Dąbrowskiego o Najświętszej Pannie Maryi, czy lepiej nie przeczytać dlatego, że wydał je „Pax"? Czy lepiej obejść się bez znajomości arcydzieła prozy polskiej, jakim jest „Bolesław Chrobry" Antoniego Gołubiewa, czy raczej machnąć ręką, aby nie wpaść w sidła „wydawnictw wrogich sprawie polskiej"? To, co głosi anonimowy autor z „Gazety Niedzielnej", jest programem samobójstwa narodowego. Czyż kto śmie twierdzić, że sama emigracja przy pomocy tylko własnych wydawnictw pielęgnuje i tworzy nieskażoną kulturę polską?

Po wtóre: nie wszystko w krajach opanowanych przez komunizm jest złe, a nawet i w samym komunizmie nie wszystko jest złe. A już tym bardziej nie wszystko, co się dzieje w Polsce dzisiejszej. Rachunki historii nie są zamknięte. Wielu ludzi, na których dziś byśmy rzucali kamieniami, będziemy jeszcze kiedyś czcili. Bo bezsporny jest fakt, że oprócz komunistów żyją i tworzą w Polsce dzisiejszej także i najwięksi ich wrogowie. I wbrew wulgarnym uproszczeniom, a o czym doskonale wiedzą komuniści, wrogów komunizmu żyje dziś w Polsce znacznie więcej niż komunistów.

Nie każda książka z Kraju jest trucizną. Nie każda książka wydana przez komunistów jest komunistyczną. I nie każda książka komunistyczna jest złą. Dla dobrej książki z Kraju emigracja szeroko otwiera bramy. Aby jednak z tą falą nie napłynęły także brudy, po to jest potrzebna emigracyjna „Rada Książki".

Jan Bielatowicz

LISTY

NA TEMAT LICZBY POLAKÓW W WIELKIEJ BRYTANII

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z recenzją pracy Jerzego Zubrzyckiego pt. „Polish Immigrants in Britain" w nrze 22/466 ŻYCIA, chciałbym stwierdzić jedno. Autor pracy (a może tylko recenzent?) zapomniał o jednym drobiazgu: że przecież Polacy w Anglii się r o d z ą. Proszę zobaczyć, jak się wszystkie środowiska polskie w Anglii roją dziećmi! Ale dziatwy tej nie notuje statystyka brytyjska, bo uważa ją za obywateli brytyjskich.

W rzeczywistości, mimo emigracji do USA oraz wymierania starszych roczników zapewne jest dziś więcej Polaków w Wielkiej Brytanii niż ich było w roku 1949. Liczba 160.000 Polaków na tej wyspie jest zapewne raczej za mała, niż za duża.

Z poważniem

Jędrzej Giertych

*

CZY RZECZYWIŚCIE „AUTOMACJA"?

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W nrze 20 ŻYCIA ukazał się artykuł pt „Automacja". Autor artykułu uważa, że nie jest to wyraz pięknie brzmiący w języku polskim, niemniej używa go. Ponieważ jest to wyraz urobiony z angielskiego „automotion", sądzę, że właściwsze może byłoby określenie „automatycja", jeżeli nie może być „automatyzacja". Obydwa te słowa posiadają w sobie wyraz automat, a końcówkę różną, bo wyrażają treść inną, chociaż zbliżoną. Przy słowie „automacja" mógłby się komuś nasunąć wniosek, że ma ono coś wspólnego z autem. Albo też ponieważ zagadnienie automatycji (pozwalam sobie użyć tego wyrazu) wyraża zastąpienie ludzi przez roboty — czy nie byłoby wskazane użycie wyrazu robotyzm, co jest dźwiękowo bliskie robotowi. Pragnąłbym, ażeby Pan był łaskaw poddać opinii publicznej moje sugestie na ten temat.

Zasyłam słowa głębokiego poważania.

Stefan Legeżyński

Ż Y C I E Katolicki Tygodnik Religijno - Kulturalny. Wydaje Veritas Foundation Publication Centre. Adres Redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12 Praed Mews, London, W. 2, England. Telefony: Redakcja i Administracja: AMBassador 6879. Drukarnia: PADdington 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: codziennie, z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt, tylko od godziny 15.30 do 16. Administracja czynna codziennie od godziny 9 do 12 i od 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach, na ewentualny zastrzeżony zwrot, prosimy dołączyć znaczki pocztowe. P R E N U M E R A T A płatna z góry wynosi: miesięcznie 4 szyl. 6 d., kwartalnie 13 szyl., półrocznie 26 szylingów. W P Ł A T Y: a) **w krajach bloku szterlingowego:** Postal albo Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) **w krajach bloku dolarowego:** International Money Orderami lub zwykłym czekiem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) **we wszystkich innych krajach:** do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym bezpośrednio do administracji ŻYCIA. C E N Y O G Ł O S Z E Ń: 1 cal przez 1 łam — £ 1.0.0, w tekście — 50% drożej, na stronie tytułowej — 100% drożej. P R Z E D S T A W I C I E L S T W A i C E N A P R E N U M E R A T Y W R Ó Ż N Y C H K R A J A C H: **ARGENTYNA: „Libreria Polaca",** Serrano 2076, piso I, Buenos Aires. **AUSTRALIA: „Vistula"** (Aust.) Pty.Ltd., 77. Pitt Street, Sydney o r a z **„Społem"**, 64 Tapley's Hill Rd., Royal Park, Adelaide, S. A. **BELGIA: Mme E. Kulakowska,** 129, Rue du Cornet, Bruxelles 4. Prenumerata kwartalna: 90 frs. **BRAZYLIA: Książnica Polska,** Caixa Postal 5201, Rio de Janeiro; **ks. dr Antoni Łatka,** Praça Cel. Fernando Prestes No. 233, Sao Paulo. **DANIA: Ks. O. J. Szymaszek,** Skt. Annae Kirke,Hans Bogbinders Alle 2, Kobenhavn S. **FRANCJA: Ks. K. Stolarek,** 29 Av. du Gen. Leclerc, La Ferté-sous-Jouarre, (S. et M.), CC 5 603 40. Prenumerata kwart.: 540 fr. **HOLANDIA: B. Galas,** Fagelstraat 15A, Breda. **KANADA: Canadian Mosaic Publishers,** Suite 1, 4118 Western Ave., Montreal 6. **International Book Service,** 57, Queen Str. W., Toronto. **NIEMCY: St. Mikiciuk,** Gablonzerstr. 7/I, (13b) München 45. Pren. kwart. 8 DM. **NORWEGIA: B. Łubiński,** Kongesgat 2, Moss. **STANY ZJEDNOCZONE: „Gryf Publication",** 296 Sheridan Ave., Albany, N.Y. **M. Kijowski,** 380 North Ave., Dunellen, N. J. **S. J. Rozmyslowicz** 5262 Proctor, Detroit 10, Mich. **Mme J. Stojanowska,** 424 Ave. „E", Bayonne, N.J. oraz **„Pomoc" — Eksport - Import,** 761 Fillmore Ave., Buffalo 12, N.Y. Prenum. kwart. $ 2.00. **SZWAJCARIA: Mme B. Gierszewska,**4 Rue Simplon, Fribourg. konto poczt. No 11a 5275 - Fribourg. Pren. kwart. 5.00 fr. **SZWECJA: Mgr B. Kurowski,** Lund, Revingegatan 13B. Pren. kwart. 10 krs. **WŁOCHY: Mme Z. Bulhak Jelska,** via Salaria 300 C, Roma.

W sprawach **prenumeraty i ogłoszeń** prosimy porozumiewać się z przedstawicielami.

Printed by Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9734.